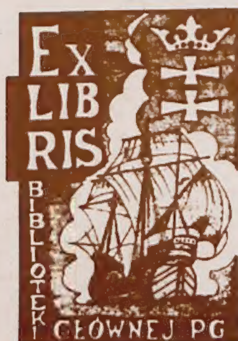
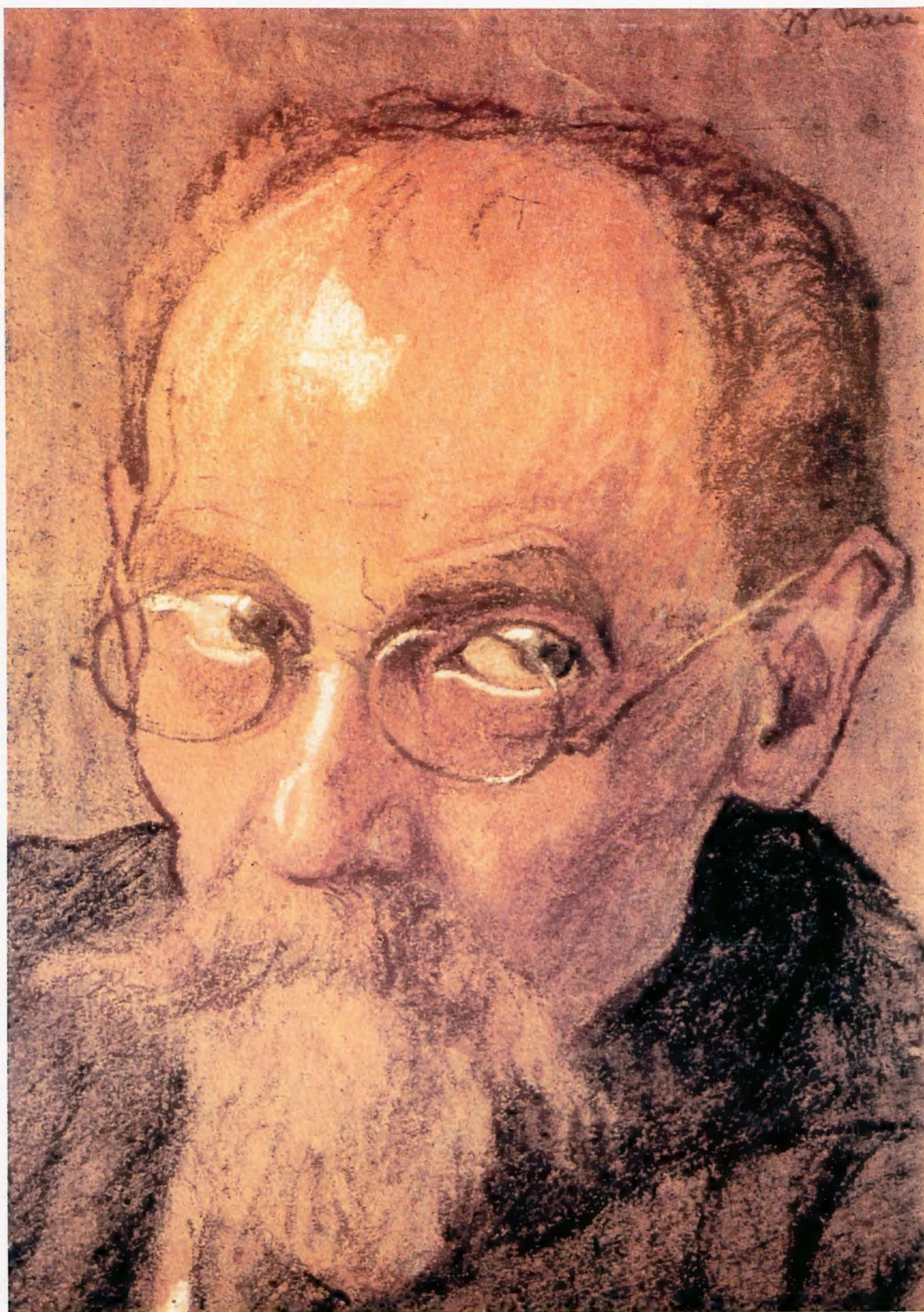
Z HISTORII POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ...



ISBN 83-904107-0-2

Nr 3 Maj 1995



PORTRET OJCA (MÓJ OJCIEC), pastel, 1913r. Władysław Lam

Gotykiem czy Antykwą

Odrobina ulotnej wątpliwości zawarta w tytule stała się przyczynkiem dla kierownictwa Biblioteki Głównej do rozpoczęcia gromadzenia materiałów faktograficzno-historycznych dotyczących dzisiejszej Złotej Jubilatki - Politechniki Gdańskiej.

Atmosfera obchodów nasuwa wyjątkową okazję do sięgnięcia myślami wstecz, by przybliżyć nam wszystkim, a szczególnie najmłodszym członkom społeczności politechnicznej, obraz tamtych dni. Przypomnijmy istotną w historii Naszej Almae Mater datę 5.04.1945 r. - przybycia do Gdańska i do częściowo zniszczonej Uczelni - grupy operacyjnej, powołanej do spraw zabezpieczenia i organizacji Politechniki Gdańskiej. Grupie tej przewodniczył dr Stanisław Turski, późniejszy profesor i Rektor Politechniki Gdańskiej. Przybyli z nim: inż. Kazimierz Kopecki, późniejszy profesor i Rektor Politechniki Gdańskiej, dr Kazimierz Kubik, inż. Franciszek Otto, obecnie emerytowany profesor, oraz Stanisław Szymański.

Członkowie grupy operacyjnej zastali zdewastowane budynki, zniszczone i ograbione laboratoria, wypaloną bibliotekę. Gmach Główny zniszczony był w około sześćdziesięciu procentach. Natychmiast przystąpiono do porządkowania i remontowania pomieszczeń laboratoriów i sal wykładowych, które nierzadko pełniły również rolę sypialni.

W dniu 24 maja 1945 r. został wydany przez Krajową Radę Narodową historyczny Dekret stwierdzający w art.1, iż "Politechnika Gdańska staje się polską państwową szkołą akademicką". Data i treść tego aktu prawnego posiada dla Uczelni fundamentalne znaczenie.

Nauczanie w Politechnice rozpoczęto siłami 112 pracowników naukowych, w tym tylko 8 profesorów i 28 osób na stanowiskach profesorskich.

Data 22 października 1945 r. - pierwszej inauguracji - dała początek nieprzerwanemu procesowi nauczania polskiej kadry inżynierskiej, utrzymywanemu do chwili obecnej na niezmiennie wysokim poziomie.

Jubileusz skłania również do głębokiej zadumy i wspomnień o tych pracownikach, którzy już od 1945 r. poświęcili całe swe czynne życie dla Uczelni i dzięki ich wysiłkowi Politechnika Gdańska osiągnęła tak wysoką rangę w kraju i zagranicą.

*To właśnie dzięki tym **wspaniałym ludziom**, Uczelnia obchodzi swój imponujący Jubileusz, a my chylimy czoła przed jego autorami.*

Janina Ligman

W NUMERZE:

Wydano za zgodą rektora Politechniki Gdańskiej.
Redaguje zespół w składzie: Danuta Siemińska (red. prowadzący), Janusz Ciemnołoński, Bożena Hakuć, Andrzej Januszajtis, Janina Ligman, Olgierd Pawłowski.
Projekt okładki : Janusz Ciemnołoński.
Zdjęcia: J. Ciemnołoński, K. Lelewicz, ze zbiorów Pracowni Historii BG PG, ze zbiorów prywatnych
Przerywniki graficzne : Elżbieta Garwacka
Wydawca: Biblioteka Główna Politechniki Gdańskiej, 80-952 Gdańsk, ul. Narutowicza 11/12. tel. 47-25-75, fax 47-27-58.
Adres Redakcji: Biblioteka Główna Politechniki Gdańskiej, 80-952 Gdańsk, ul. Narutowicza 11/12, Pracownia Historii p. 202 Gm.Gł., tel. 47-29-95.
Druk: Drukarnia Oruńska Gdańsk, ul. Świętokrzyska 47, tel. 39-93-51, fax 51-51-48.
Numer zamknięto dnia 1995.05.16.

Dokumenty Zbrodni Katyńskiej w Politechnice Gdańskiej

Marzec 1990 roku zapisał się bardzo wymownym przedsięwzięciem w historii Politechniki Gdańskiej, bowiem w tym czasie nawiązany został kontakt z Gdańską Rodziną Katyńską jeszcze przed jej formalnym zarejestrowaniem.

Wiązało się to z faktem, iż 7 byłych studentów Polaków zginęło właśnie w Katyniu. Byli to: **Mikołaj Borysławski**, który studiował w latach 1923-1925; **Gustaw Rudolf Jan Kindt**, student w latach 1930-1935, członek Korporacji "Gedania" oraz ZSPPG "Bratnia Pomoc"; **Alfred Majzner**, student Wydziału Budowy Maszyn w latach 1935-1939, - członek Korporacji ZAG "Wisła"; **Józef Bogdan Mielcarzewicz**, student Wydziału Budowy Maszyn do 1937, ostatni prezes ZSPPG "Bratnia Pomoc", w lutym 1939 r. po zajściach antypolskich wydalony przez władze niemieckie z Politechniki; **Teodozy Thimm** - studiujący w latach 1904-1907; **Antoni Wołągiewicz,** który studiował w latach 1922-1928.

Decyzja o współpracy z ludźmi dotkniętymi straszną zbrodnią, w wyniku której zginęli ich bracia, mężowie, ojcowie zrodziła zamiar utworzenia przy Bibliotece Głównej w Pracowni Historii Politechniki Gdańskiej - Ośrodka Dokumentacji Zbrodni Katyńskiej - obejmującego swym zasięgiem obszar regionu gdańskiego. Prace zostały podjęte natychmiast po uzyskaniu zgody na powołanie ośrodka Jego Magnificencji Rektora Politechniki Gdańskiej prof. dr. hab. inż. Edmunda Wittbrodta.

Najważniejszym zadaniem było zgromadzenie jak największej ilości materiałów faktograficzno-historycznych w tym zdjęć pamiątek i listów, które pozwoliłyby na odtworzenie i określenie nie tylko osobowości zamordowanych oficerów, ale także przybliżenie ich otoczenia, środowiska, w którym żyli i pracowali. Materiałów tego typu mogli dostarczyć tylko członkowie rodzin pomordowanych oficerów.

Dużą pomoc w gromadzeniu zbiorów okazały nam: Gdańska Rozgłośnia Polskiego Radia, "Gazeta Gdańska" i "Dziennik Bałtycki", propagując nasz apel o gromadzenie dokumentów, zdjęć, pamiątek po oficerach polskich, jeńcach Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

Gromadzeniem, selekcją, reprografią dostarczonych dokumentów, notowaniem i nagrywaniem rozmów zajęli się pracownicy Biblioteki Głównej, którzy społecznie wykonywali te prace. Kust. sł. bibl. mgr Barbara Ząbczyk-Chmielewska pracująca z dużym zaangażowaniem w Pracowni Historii PG, podjęła się trudu gromadzenia i merytorycznego opracowania materiałów, łącznie z przygotowaniem ich ekspozycji. St. mistrz fotografik Tadeusz Chmielowiec sporządzał tysiące fotograficznych reprodukcji. W pracach tych uczestniczył także st. mistrz fotografik Jerzy Hajdul.

Stan materiałów, zarówno zdjęć jak i dokumentów był różny jakościowo, tylko dzięki wysokim umiejętnościom mistrzów fotografii udało się wyeksponować najistotniejszą ich wymowę.

W trakcie gromadzenia materiałów dla nowo utworzonego Ośrodka Dokumentacji Zbrodni Katyńskiej spotykaliśmy się często z jedynymi "relikwiami" ocalałymi z rodzinnych skarbców. Wiele innych przepadło na dalekim zesłaniu, w płonącej powstańczej Warszawie, a nierzadko zostały zniszczone w latach pięćdziesiątych w obawie przed represjami.

Z wdzięcznością przyjęłam pomoc pracowników Wydziału Architektury, a szczególnie dr. Janusza Ciemnołońskiego, który uświetnił pierwsze ekspozycje dokumentów subtelną, ale jakże trafnie dostosowaną oprawą plastyczną.

Przynoszone dokumenty częstokroć były po raz pierwszy udostępnione osobie obcej, a ich przekazywaniu towarzyszyły wzruszające, często dramatyczne wspomnienia wojennych przeżyć. Spośród rodzinnych pamiątek pieczołowicie przechowywanych wybierane były te najcenniejsze. Często były to jedyne zdjęcia, pojedynczy list lub dokument, uratowany z wojennej pożogi.

Gromadzone były dokumenty ukazujące życie i aktywność zawodową zamordowanych, przebieg ich służby wojskowej lub policyjnej, a także pracę nauczycieli, lekarzy, ziemian i innych. Często natrafialiśmy na dokumenty wiążące się z ważnymi wydarzeniami historycznymi, takimi jak walki legionowe, wyprawa wojsk gen. Żeligowskiego, uroczystości wojskowe z udziałem najwyższych dostojników rządowych, nieznane zdjęcia z pogrzebu Marszałka Józefa Piłsudskiego, czy unikalne zdjęcia generała Władysława Andersa. Z tej masy

szczegółów, drobnych okruchów codzienności i ze zdarzeń odświętnych wyłania się obraz życia ówczesnej inteligencji w realiach życia rodzinnego i społecznego. Ukazuje ich udział i zaangażowanie w trud budowy ówczesnej rzeczywistości. Dokumentacja obejmuje również bogatą korespondencję oficerów z okresu ich pobytu w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Intensywnie prowadzone prace pozwoliły na utworzenie kartoteki obejmującej ponad 300 nazwisk polskich oficerów bestialsko zamordowanych przez oprawców NKWD. Całkowity zbiór zreprodukowanych dokumentów obejmuje kilka tysięcy pozycji, łącznie z listami śmierci.

Zgromadzone i opracowane materiały prezentowane były na kilku dużych wystawach, przypominających i przybliżających ofiary tej straszliwej zbrodni, w której zginęli oficerowie-nauczyciele, oficerowie-lekarze, oficerowie-księża i oficerowie innych zawodów, mający często bohaterską przeszłość z okresu legionów i wojny polsko-bolszewickiej.

Duże ekspozycje, prezentujące bogaty materiał faktograficzno-historyczny zbrodni dokonanych na jeńcach obozów Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa prezentowane były w Kościele Mariackim w Gdańsku i w Kościele Św. Brygidy, gdzie gościem zwiedzającym wystawę był b. prezydent Stanów Zjednoczonych wraz z małżonką, Ronald Reagan. Kolejna wystawa zebranych materiałów prezentowana była w Katedrze Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie, a następnie przeniesiona została do Kościoła Najświętszego Serca Jezusowego w Gdyni. Ekspozycje prezentowane były także w Ratuszu Głównego Miasta Gdańska oraz w Klubie Marynarki Wojennej w Gdyni.

Ponadto organizowaliśmy 3-krotnie duże wystawy w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej, które były doskonałą lekcją historii nie tylko dla studentów, lecz także dla licznie zwiedzającej te ekspozycje młodzieży szkół średnich.

Wspomniane wyżej wystawy organizowane były przy współpracy z członkami Gdańskiej i Gdyńskiej Rodziny Katyńskiej.

Dziś wiele żon, sióstr, braci i dzieci zamordowanych oficerów już nie żyje, jednak pamięć o ich najbliższych przechowa się. Gromadzone w różnych ośrodkach w kraju i zagranicą dokumenty, których część trafiła do naszego Ośrodka pozwala widzieć je nie tylko jako jedne z kolejnych nazwisk na listach śmierci, lecz jako część aktywnej, twórczej elity narodu, której zagłada kładzie się cieniem na dniu dzisiejszym.

Janina Ligman



Różaniec wykonany przez jeńca obozu w Ostaszkowie - por. rez. WP Franciszka Batora.



W stronę minionych dni i zdarzeń - wspomnienia prof. Franciszka Otto

"Szczęśliwe wspomnienie jest może na ziemi prawdziwsze od samego szczęścia"

Alfred de Musset

Urodziłem się 4 października 1904 r. we Lwowie. W domu wychowywało się nas sześcioro. Od najmłodszych lat wpajano nam zasady dobrego wychowania, uczono patriotyzmu i poszanowania tradycji. Pierwszą moją szkołą była czteroklasowa Szkoła Ludowa im. Henryka Sienkiewicza, a następnie siedmioklasowa Szkoła Realna im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich o profilu matematyczno - fizycznym w rodzinnym Lwowie. Bardzo serdecznie ją wspominam, a szczególnie tych nauczycieli. którzy organizowali nam spotkania, pogadanki i wycieczki historyczne. Pamiętam dobrze jedną z takich wycieczek do schroniska powstańców z 1863r! Mieliśmy wówczas okazję bezpośredniej z nimi rozmowy, co dla nas młodych było wielkim przeżyciem. Tym, który prowadził te wycieczki był polonista prof. Marian Wolańczyk; uczący nas przede wszystkim jak i dlaczego kochać Ojczyznę. Najwyraźniej jednak zapisał się w mojej pamięci matematyk prof. Szymon Blader. Byłem jego najlepszym uczniem. Profesor wchodził do klasy, zapisywał przy biurku godzinę lekcyjną, po czym wychodził na środek sali, zakładając rękę tak jak Napoleon, wyciągał kciuk i mówił: Otto do tablicy! No i Otto był cały rok przy tablicy, ponieważ profesor wykładał tylko teoretyczne wstępy, zaś ja rozwiązywałem wszystkie zadania i ćwiczenia. Nie było to dla mnie żadnym problemem, ponieważ już od czternastego roku życia udzielałem kolegom korepetycji z matematyki. Początkowo nieodpłatnie, później zaś zarabiałem 60 złotych miesięcznie, wspomagając w ten sposób skromny budżet rodzinny.

Wychowywany i kształcony w duchu głębokiego patriotyzmu, po ukończeniu szóstej klasy wstąpiłem do Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej by wziąć udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Wśród ochotników przeważali ludzie młodzi i bardzo młodzi od piętnastego do dwudziestego piątego roku życia.

W większości mieliśmy za sobą udział w Towarzystwie Zabaw Ruchowych, którego celem było m. in. zaznajomienie młodzieży z podstawami wiedzy wojskowej. Po zakończeniu wojny wzbogacony nowymi doświadczeniami dalej pilnie się uczyłem. Do dziś dnia pamiętam wszystkie zadania maturalne z matematyki i geometrii wykreślnej, jakie musiałem rozwiązać, a uporałem się z nimi w ciągu kilkunastu minut. Po egzaminie pisemnym z geometrii wykreślnej podszedł do mnie prof. Szymon Blader prosząc, bym zjawił się u niego w domu po południu. Zdumionemu, wręczył tubę z wszystkimi rysunkami moich kolegów i powiedział: popraw to, postaw noty i przynieś z powrotem. Tak też uczyniłem, z jednym wszak wyjątkiem, ponieważ nie chciałem wystawiać koledze oceny niedostatecznej. Profesor okazał się jednak wielkoduszny i zdecydował: postawimy mu dostatecznie...

Dalszy kierunek mojej nauki był już w zasadzie przesądzony: Politechnika Lwowska - Wydział Mechaniczny.

W czasach gdy studiowałem, uczestnictwo w wykładach było całkowicie dobrowolne i nie kontrolowane. Mnie jednak było żal nie słuchać tak znakomitych wykładowców jak: Antoni Łomnicki, Antoni Plamitzer, Stefan Banach czy Maksymilian Tytus Huber. Wówczas to już były sławy, a ich wykłady odbywały się w szczelnie

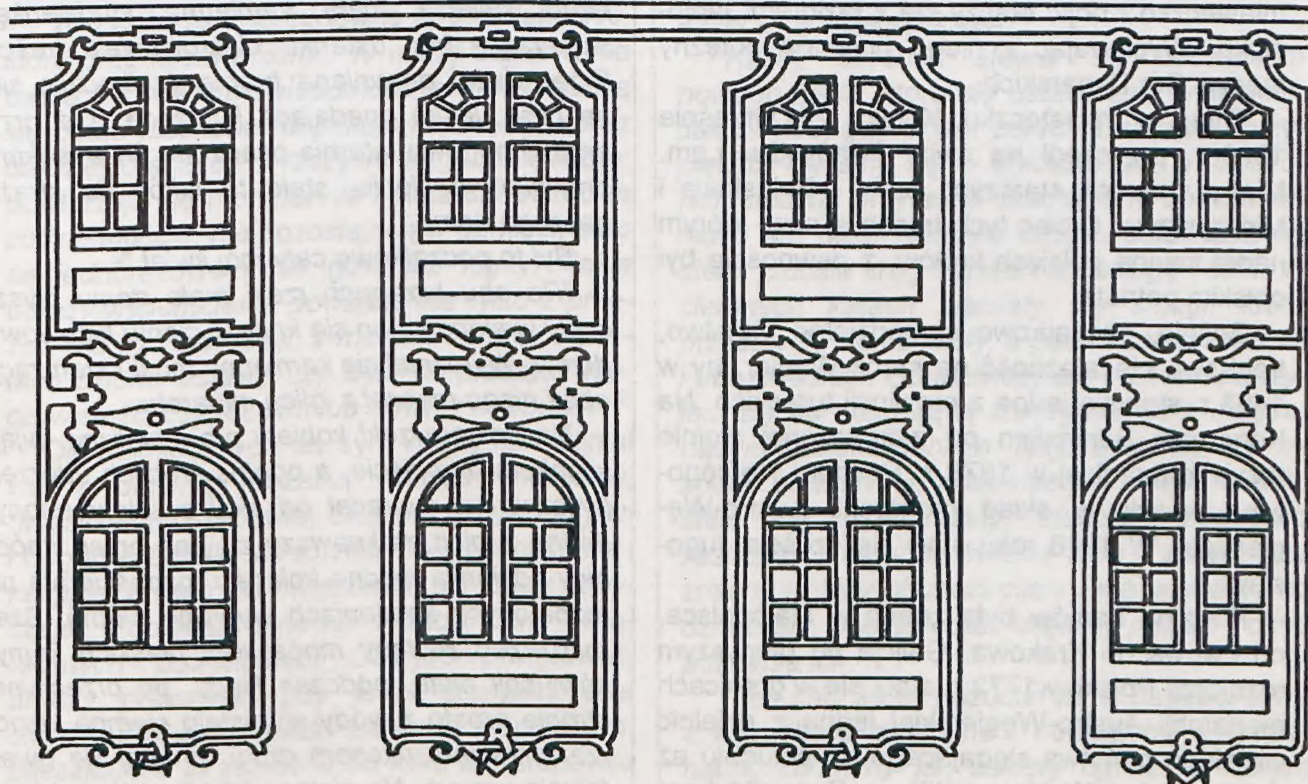
wypełnionych słuchaczami salach. Jeszcze w czasie studiów otrzymałem propozycję objęcia asystentury w I Katedrze Geometrii Wykreślnej u prof. Kazimierza Bartla. Profesor z racji sprawowania rozlicznych, ważnych funkcji państwowych (m.in. kilkakrotnie był premierem rządu RP) rzadko zjawiał się w katedrze, co zmuszało do samodzielności, odpowiedzialności i rzetelności. Jeśli już cokolwiek sprawdzał to, przede wszystkim pracę asystentów, a nie studentów.

Dość osobliwie wyglądał u niego egzamin, przypominający jako żywo odpytywanie uczniów przy tablicy. Dopuszczenie doń studenta zobowiązywało go do zaliczenia wszystkich ćwiczeń całorocznych, po czym następowało publiczne przepytywanie. Taka forma egzaminu miała swoje dobre strony, ponieważ pozwalała niedouczonym uzupełniać luki w wiadomościach. Razem z kolegą Grzegorzem Syniewskim, również asystentem prof. Kazimierza Bartla, pracowałem nad rysunkami do książek profesora. Darzył nas pełnym zaufaniem, zlecając trudne i odpowiedzialne zadania. Pamiętam, że musieliśmy prześledzić na ponad tysiącu reprodukcjach przywiezionych przez profesora historię rozwoju perspektywy w malarstwie włoskim, francuskim, niemieckim i flamandzkim. Pasjonująca była to praca.

1 września 1939 r. rozpoczęła się druga wojna światowa. Nazywała się ona w początkowej fazie wojną o Gdańsk, a ja wówczas przypomniałem sobie prof. Romana Witkiewicza, który na jednym z wykładów powiedział, że w Polsce są dwie i pół politechniki. Ową połówką była Politechnika Gdańska. Byłem przekonany, że tę wojnę, podobnie jak pierwszą wojnę światową, Niemcy przegrają, Gdańsk będzie należał do Polski, a ja podejmę pracę w Politechnice Gdańskiej. Nie zmieniły moich planów takie zdarzenia jak cios w plecy zadany Polakom przez Sowietów 17 września 1939 r. czy zwycięski marsz wojsk Hitlera przez Europę. Wiosną 1944 r., kiedy znane już były wyniki konferencji w Jałcie, postanowiłem nie czekać na drugie przybycie wojsk sowieckich do Lwowa. Razem z żoną wyruszyliśmy w długą podróż, której celem ostatecznym był Gdańsk.

c.d.n.

wysłuchała **Danuta Siemińska**





Profesora Władysława Lama
DROGA DO GDAŃSKA

Neretwa, zbierająca swe wody ze stoków pasma górskiego noszącego nazwę Rudawy Bośniackiej, jest jedyną rzeką Jugosławii, która płynąc na północny-zachód nagle skręca na południe i kończy swój bieg w wodach Adriatyku za pośrednictwem głębokiej zatoki zwanej Kanałem Neretwańskim. Neretwa wypływa ze stoków Zelengory i Leliji. Zasilana potokami spod Visacicy przepływa przez miasteczko Konjic i łączy się z jeziorem Jablonicko. Wypływając z niego przecina potężny masyw Gór Dynarskich.

Tutaj, w miasteczku Konjic, 28 września 1893 r. przyszedł na świat Władysław Lam. Miał już dwóch starszych braci - Bolesława i Mieczysława. Ojciec tych trzech synów, którym nadał imiona polskich królów, z pewnością był polskim patriotą.

Bośnia, początkowo samodzielne państwo, traci swą niezależność na rzecz Węgier, by w 1463 r. stać się jedną z prowincji tureckich. Na Kongresie Berlińskim po zakończonej wojnie rosyjsko-tureckiej w 1878 r. Bośnia i Hercegowina weszły w skład monarchii Austro-Węgierskiej. W 1918 roku stały się częścią Jugosławii.

Rodzina Lamów była znana w Małopolsce, od Lwowa do Krakowa. Galicja po pierwszym rozbiorze Polski w 1772 r. stała się w granicach monarchii Austro-Węgierskiej jedną z dzielnic wielkiego państwa sięgającego na południu aż do Adriatyku. W końcu XIX w. Romuald Lam wraz z żoną, Olgą Jarosiewicz wyemigrował do Bośni i ... "objął stanowisko urzędnika katastralnego w miasteczku Konjic" - jak opisuje w swoich wspomnieniach syn Władysław[1]

"Zamieszkaliśmy w domu o podniszczonym tynku, który wyraźnie mówił o swojej starości i zaniedbaniu, ale zaciszne izby, a nade wszystko galeryjka na piętrze, wsparta na drewnianych podporach, zwrócona ku słońcu, osłonięta winną latoroślą, nie traciły nigdy swego uroku.

Przed domem okazały dziedziniec, wybrukowany kocimi łbami, otoczony z trzech stron wysokim murem, krył wśród mnóstwa różnorodnego kwiecia małą kamienną studzienkę, szemrzącą bez ustanku niezrozumiałe treści. Przez dużą, drewnianą bramę wychodziło się na ulicę, lekko opadającą ku rzece. Tuż przy bramie naftowa latarnia osadzona na wysokim, drewnianym słupie, stała tu jakby na straży naszego domu.

Był to początkowo cały mój świat."[2]

"Po obu brzegach rzeki małe domy błyszczały w słońcu albo się kryły w cieniu krzewów i drzew. Wyróżniał się kamienny most i sterczący obok niego meczet z iglicą minaretu.

Na brzegu rzeki kobiety prały bieliznę, bijąc kijankami zawzięcie, a odgłos krótkich uderzeń leciał w dal i wracał od skał zwielokrotniony. Jedna z nich zatknąwszy za pas brzeg spódnicy odsłoniła mocne kolana i rozpościerała na rozpalonych kamieniach wyprane płótna. Szeroki brzeg zasłany mnóstwem płaskich kamyków lśnił bielą, podczas kiedy, po przeciwnej stronie prosto z wody wyrastało ciemne wzgórze, przecięte ukosem drogi, pnącej się gwałtownie wzwyż. Na zielono-błękitnej toni drżące fale mknęły w dół rzeki."[3]

"Na brzegu rzeki tu i ówdzie sterczały głazy, wokół których rosły kępki spłowiałej trawy. Kamienny most świecił w słońcu blaskiem, a

pod nim mieniła się chłodna zieleń Neretwy drżąc bezustannie. W górze rzeki chłop popędzał krowy, a drugi poił konie. Gdy słońce wspięło się wysoko i było u zenitu, prostopadłe promienie zaczynały razić jak strzały. Przestrzeń wokół mostu pustoszała. Wszyscy pragnęli ukryć się w cieniu izb i usnąć twardym snem południa. W domu witała nas matka, którą ubóstwialiśmy za jej bezgraniczną dobroć."[4]



Portret matki artysty, W. Lam 1930

"Wszystko to było cudowne i pełne tajemnic, które pragnąłem poznać. W miarę dojrzewania nasila się bowiem świadomość istnienia, budzą się dotąd nieznane niepokoje i tęsknoty, coraz bardziej dręczące. Przeżycia są jednak różne: powtarzają się monotonnie i stają się pospolitą codziennością, nie pozostającą w pamięci, albo są jednorazowe i nie giną już nigdy. Takie obrazy-wspomnienia powstają nie tylko z przeżyć, ale i z opowieści, z marzeń i snów. Po latach trudno ustalić, czy była to przeżyta rzeczywistość, czy też sen lub wytwór wyobraźni."[5]

Od najmłodszych lat syn Władysław stykał się z barwną mozaiką różnych narodów. *"Mieszkali tu Serbowie, Chorwaci, Turcy, Żydzi i Cyganie. Dzieliły ich różnice narodowościowe i religijne, a więc inne wierzenia, przesądy i obyczaje. Podlegali innemu rytmowi dni świątecznych i powszednich. Gdy jedni świętowali, drudzy pracowali, gdy jedni zamykali swe sklepy, inni handlowali. Ludność napływowa, mieszkająca tu zaledwie od kilku lat, stanowiła warstwę urzędniczą, uprzywilejowaną, złożoną również z wielu narodowości. Byli to Niemcy, Węgrzy, Czesi, Polacy, Ukraińcy i Bóg wie kto jeszcze. Dziwne ludzkie zbiorowisko, pełne sprzeczności i nieporozumień, stanowiło pozornie jednolitą całość w cesarsko-królewskiej monarchii."*[6]

A dzisiaj widzimy jak ta całość w tragiczny sposób się rozsypała...

Z tą wielonarodową mozaiką rodzina Lamów zetknęła się zwłaszcza po nagłej przeprowadzce do Żepcza, powiatowego miasta Bośni. Zamieszkała w parterowym domu ...*"z drewnianą werandą z kilkoma izbami i dobudowaną kuchnią, przed którą rozpościerało się podwórze i ogród ciągnący się aż po las. Rozległa przestrzeń, mieniąca się w słońcu różnymi barwami, odurzała wonią kwiatów. Rosły tu warzywa, jagody i gąszcz ozdobionej piuropuszami kukurydzy. Ten ogród z tysiącem przeróżnych zjawisk budził najwyższy podziw."*[7]

Były to szczęśliwe lata, które ukształtowały i ukierunkowały dalsze losy Lama, a zapamiętane krajobrazy z tego młodzieńczego okresu nie pozostały bez wpływu na kształtowanie kompozycji i kolorytu jego przyszłych obrazów. Ze zmieniających się pór roku ...*"Najbardziej urzekająca była wiosna. Świat się budził z uśpienia, każda gałązka ozdabiała się świeżymi listkami, drżącymi w jasnych promieniach słońca. Barwne motyle i drobne owady krążyły wokół, rozkoszując się blaskiem i ciepłem. Gorące lata wracały, darząc swą wspaniałością, podobnie jak i jesień słodkimi owocami, a biel zimy mijała jak sen."*[8]

"Każdy poranek stawał się początkiem nowego życia, które się ustawicznie zmieniało. Jak zwykle, gdy skwar południa zaczynał przypiekać, kryliśmy się w chłodzie izb, a wieczorem siedząc przy stole słuchaliśmy opowiadań matki lub ojca. Naftowa lampa, ustawiona na stole, rzucała krąg światła na podłogę i sufit. W ciemnych kątach zjawiały się smugi, które przesuwały się i znikały, a potem sen zniecuzlał i obezwładniał. Obudziwszy się o świcie patrzyłem się na otaczającą rzeczywistość z niegasnącym zaciekawieniem. Najbliższe, dobrze mi znane przedmioty, podobnie jak ginące w dali, stale się przeobrażały, ukazując bogactwo kształtów i barw w świetle dnia i nawet gdy zmiany te były niezrozumiałe i nie wiadomo co oznaczały, budziły coraz większy podziw i chęć poznania ich."[9]

"Ten cały świat pozostał mi w pamięci żywy z wszystkimi drobnymi i doniosłymi wydarzeniami, cudowny jak zaklęty ogród, w którym przeżywałem z głębokim wzruszeniem wczesne dzieciństwo."[10]

Po sześciu latach pobytu w Żepczu rodzina Lamów przenosi się do Sarajewa. Ojciec rozpoczął pracę w banku państwowym. Świat tu

był inny, inne otoczenia, inne krajobrazy. *"Godziny spędzone w szkole stawały się z każdym dniem coraz bardziej nieznośne. Opuszczałem gmach szkolny z wyraźnym zadowoleniem, natomiast z podziwem patrzyłem na góry sterczące nad miastem. Pociągała mnie - od pierwszej chwili - ich potęga, przekraczająca wszystko co ludzkie. Wchodziłem na najbliższe wzgórza z kolegami lub z braćmi. Niekiedy docieraliśmy do szczytów skalnej pustyni."*[11]

W Sarajewie Władysław przeżył pierwsze w swym życiu trzęsienie ziemi. Z nostalgią wspomina niedzielne, rodzinne wyprawy do siarczanych źródeł Ilidży czy narodzin "umiłowanej z dzieciństwa rzeki" (Bośni). W szkole, do której uczęszczał, były także zajęcia z rysunku. Polegały one na odtwarzaniu kształtów według wyznaczonych miar. *"I dopiero w czternastym roku życia, dzięki nauczycielowi Welclowi, czeskiemu malarzowi, zacząłem inaczej patrzeć na te sprawy. Ustawiał nam proste układy przedmiotów, pozwalając odtwarzać je nawet w barwach, jednak z dużą swobodą."*[12]

Kolejna nagła przeprowadzka. Tym razem w wyniku przeniesienia ojca do Tuzli na "zaszczytne stanowisko dyrektora katastratu". Wszyscy trzej synowie zaczęli uczęszczać do pobliskiego gimnazjum, gdzie naukę rysunku prowadził Popovič, sam będąc malarzem (po ukończonych studiach w Moanchium). W jego pracowni Lam zrozumiał ... ***"że nie ma obrazu, który by wszyscy mogli odczuć w taki sam sposób. Jest to zawsze świat autora, który może być różnie odbierany. Świat kształtów i barw pobudzający do nowych własnych przeżyć."***[13] Zaczyna dużo malować. *"Zawsze budziłem się ze snu z pierwszymi promieniami słońca. Wstawałem, brałem malarskie przybory i cicho, nie niepokojąc rodziców, wychodziłem z domu. Na łące lub na jakimś wzgórzu podziwiałem świat budzący się do życia, malowałem jego bogactwo kształtów i barw. Potem wracałem do domu na śniadanie i szedłem do szkoły na ósmą godzinę, gdzie siedząc w ławce często drzemałem."*[14] Ale jeszcze czekała go matura... Gdy miał ją już poza sobą, to poza uczuciem szalonej radości, doznał *"uczucia nieograniczonej wolności i swobody działania. Byłem innym człowiekiem, uwolniony od martwych szkolnych obowiązków. Wiedziałem co mnie czeka, jaką drogą pójdę w życiu. Widziałem w wyobraźni postacie twórców światowej sławy, których pragnąłem naśladować, by osiągnąć choćby w małym stopniu ich pełnię. Nic mnie nie mogło odwieść od tych marzeń. Gotów byłem wszystko poświęcić dla tego celu."*[15]

W tym samym czasie ojciec odszedł na emeryturę. Cała rodzina mogła powrócić wreszcie do ojczystego kraju. Wkrótce przez Węgry i Słowację dotarli do Krakowa. Wszyscy trzej synowie dostali się na wyższe uczelnie. Władysław rozpoczął studia na Akademii Sztuk Pięknych w pracowni Teodora Axentowicza. Profesor ten akceptował każdą indywidualność. Uważał, że wszelkie doradzanie nie jest możliwe, każda decyzja należy wyłącznie do autora dzieła. Ale równocześnie Lam był ...*"pod urokiem twórczości Wyspiańskiego. Jego srebrzyste krajobrazy, sentymentalne portrety dziecięce oraz barwne witraże miały dla mnie ogromny urok. Usiłowałem go naśladować, ale po pewnym czasie zacząłem ulegać wpływom Cezanne'a. Jego lekkie deformacje obok mocnego kolorytu zafascynowały mnie. Jednak szczęśliwie uwolniłem się i od tej zależności, choć dzięki niej wiele zyskałem. Monotonia wykonywanych w Akademii studiów zaczęła mnie nużyć. Nie mogłem już patrzeć na akt. Wróciłem więc do zacisza domowej pracowni."*[16]

Ta krótka sielanka została nagle przerwana przez wybuch wojny. Lam został powołany do wojska i przydzielony do 99 pułku piechoty. Zatrzymuje się na Węgrzech w Nagy Banya, gdzie przeżywa bezsens wojny. Z powodu słabego zdrowia dostaje przydział do wojskowego biura. Niedługo rusza jednak na front wschodni, gdzie przemarzniętego dowództwo odsyła do Pragi i dalej do Krakowa na oddział dla nerwowo chorych. Przez rok - dzięki portretowaniu lekarzy - nawiązuje kontakty z Akademią i rodziną. Niestety, nie na długo. Za sprawą komisji kontrolnej wojska znów trafia na Węgry do Kapolouk Manasztur, gdzie pozostaje do końca wojny. Wraca do Krakowa, ale nie chcąc być ciężarem dla rodziców obejmuje posadę nauczyciela gimnastyki w Łodzi, w gimnazjum kupiectwa. Po kilku miesiącach jest już nauczycielem rysunków w Korpusie Kadetów w Modlinie. Tam ma już własną pracownię i zajadle maluje. Stwierdza też, że *"Pewne zadowolenie dawała mu świadomość, że budzę u kadetów zainteresowanie twórczością, dzięki czemu ludzka natura się uszlachetnia, a cechy pierwotności zanikają."*[17]

Po trzech latach służby na terenie twierdzy, zwalnia się i ląduje w Poznaniu, blisko rodziny. Przeżywa tragedię brata Bolesława, który utonął w Jeziorze Wągrowieckim. Pociesza pogrążonych w smutku najbliższych. Wkrótce umiera ojciec. Władysław zawzięcie maluje, za-

wiera nowe przyjaźnie na terenie Poznania - z Leonem Dołżyckim i Erwinem Elsterem. Wiąże się z nowym zrzeszeniem artystów "Świt" - awangardowym związkiem. W jego ramach wystawia swoje wraz z pracami Dołżyńskiego i Hanytkiewicza w Poznaniu i innych miastach Polski.

Artystów wspierało Towarzystwo Przyjaciół Sztuki a także Związek Artystów Wielkopolskich, dając im do dyspozycji lokale dla urządzania wystaw. Istnienie środowiska przyczyniło się do wzrostu zainteresowania sztuką miejscowego społeczeństwa. Lam pisze *"W tym środowisku wkrótce odżyłem. Malowałem martwe natury, krajobrazy, ale również portrety i kompozycje figuralne, początkowo w konwencji klasycyzującej, następnie kubizującej."*[18] Ale Lam pisze także recenzje z wystaw, czasem zbyt ostre, powodujące konflikty.

Jest rok 1925. Lam wydaje tekę drzeworytów pt. "Don Quijote" i realizuje swoje marzenie poznania światowego centrum sztuki. Dzięki stypendium Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego udaje się do Francji. W Paryżu zwiedza miasto, wystawy, muzea. Jest pod urokiem arcydzieł dawnych artystów i zaczyna coraz bardziej doceniać wartości oddziaływania na widza obrazów Rembrandta czy Vermeera. W szczególny sposób wzruszały Lama obrazy impresjonistów. O swych podstawowych przemyśleniach tak pisze: *"Zawsze ze wzruszeniem odczuwałem bezkres przestrzeni, zmienny obraz świata, który budzi niezrozumiały zachwyt, a później przekonałem się, że twórcze wypowiedzi przemawiają w podobny sposób."*[19] W małych obrazach Bonnarda olśnił go "czar baśniowej świetności". Jedzie na południe Francji, nad Morze Śródziemne. Cagnes czy Saint Paul pozostawiły niezatarte wrażenie. Wreszcie opuszcza Francję i wraca do Poznania ... *"bogatszy, przekonany, że niezależnie od tego co osiągnę, i czy to zostanie przez innych dostrzeżone lub nie, czysta chęć stworzenia własnych, głęboko przeżytych wypowiedzi musi dawać dodatnie wyniki."*[20] Długie dysputy w gronie kolegów o muzealnych zbiorach czy wystawach zaowocowały utworzeniem przez nich "Plastyki" jako zrzeszenia najaktywniejszych artystów środowiska, z Lamem jako jego sekretarzem. Urządzali swoje wystawy nie tylko w Poznaniu, Warszawie, Krakowie czy Lwowie, ale także w wielu innych miastach Polski. W 1929 r. zaprezentowali swój dorobek w dużej sali Powszechnej Krajowej Wystawy w Poznaniu. Sukces nie skończył się na otrzymanych medalach. Dzieła tych twórców można było wreszcie oglądać w wielu ośrodkach Europy a nawet na innych kontynentach. Ziściły się marzenia zorganizowania ogólnokrajowego ugrupowania artystów pod szumnym tytułem: "Awangarda". Nie na długo jednak. Pokonały je nowe trudności.

Lam rozwija też twórczość pisarską. Jeszcze w 1927 r. drukuje swoje "Rozważania o Sztuce", które to studium w 150 egzemplarzach dzięki znakomitej szacie poznańskiego drukarza Kuglina, stało się białym krukiem. Zawiera nowe przyjaźnie i znajomości: z Janem Spychalskim, Wacławem Taranczewskim, Piotrem Potworowskim, Tytusem Czyżewskim. *"Były to chwile pobudzające twórczą aktywność."*[21] W tym okresie głównym zajęciem Lama była dydaktyka. Prowadzi lekcje rysunku i malarstwa z młodzieżą gimnazjalną, wprowadzając coraz ciekawsze metody nauczania, ale odchodzenie od realizmu miejscowe środowisko oceniło negatywnie. Natomiast indywidualna wystawa twórczości Lama we Lwowie przyniosła w efekcie propozycję objęcia stanowiska kierownika Katedry Rysunku, Malarstwa i Rzeźby na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej. Przydzielono mu obszerną salę do zajęć ze studentami oraz osobistą pracownię. Konflikty w środowisku artystycznym między Związkiem Plastyków a Towarzystwem Przyjaciół Sztuki nie przeszkodziły Lamowi we wprowadzeniu takiej metody nauczania, w której studenci uzyskali pełną swobodę wypowiedzi, co w efekcie doprowadziło do pasjonowania się przedmiotem, ale równocześnie nie zniekształciło samego szkolenia przyszłych architektów. I tylko kilku wybrało dla siebie drogę malarstwa. Wśród nich znalazł się Aleksander Kobzdej.

Nowe środowisko umożliwiło powstanie nowych przyjaźni. Lam wśród nich wspomina Leona Chwistka, Artura Lauterbacha, Menkesa, Radnickiego czy Władysława Krzyżanowskiego. W dalszym ciągu, w swojej twórczości, nie liczył się z upodobaniami otoczenia. Maluje dużo w plenerze, w którym dostrzega "kubizujące rytmy form" i utrwala je w swoich obrazach.

W trzy lata po osiedleniu się we Lwowie, w 1937 r. zakłada Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków. Przez dwa lata organizuje Rysunkowe Ognisko Wakacyjne w Krzemieńcu. Wydaje też trzy książki: w 1935 - "Malarstwo i jego zasady", w 1936 - "Jak rozwijać twórczość malarską u dziecka do 14-go roku życia", w 1938 - "Jak posiąść wiedzę malarską".

Wybucha wojna. Najokrutniejsze bezprawie i

przemoc przerażają Lama. Tak je opisuje w swoich wspomnieniach: *"Obłąkany wódz, którego ochrypły głos dochodził z megafonów, wódz hołdujący szaleńczej idei nietzscheańskiego nadczłowieczeństwa, nie cofał się przed żadną zbrodnią, pragnąc opanować świat. Nie licząc się ze stratami własnego narodu, ślepo zapatrzony w swe pseudoboskie posłannictwo, niszczył wszystko, co wydawało mu się niepotrzebne, czy choćby tylko niewygodne... Gwałt i morderstwo mimo najśmielszych haseł pozostaje zawsze nieludzką zbrodnią, godną jedynie potępienia."*[22]

Przepędzony z domu, rusza z tłumem do Krakowa. Ale i tu nie znajduje oparcia. Po wielu różnych przeprawach, decyduje się ostatecznie na wyjazd do Gdańska, dokąd dociera jesienią 1945 roku.

Janusz Ciemnołoński

---

[1] Władysław Lam: Światła i cienie, Gdańsk 1984,
[2] j.w. s.9, [3] j.w. s.11, [4] j.w. s.15, [5] j.w. s.11,
[6] j.w. s.17-18, [7] j.w. s.16, [8] j.w. s.18, [9] j.w. s.20,
[10] j.w. s.22, [11] j.w. s.24, [12] j.w. s.27, [13] j.w. s.31,
[14] j.w. s.32, [15] j.w. s.32, [16] j.w. s.34, [17] j.w. s.40,
[18] j.w. s.44, [19] j.w. s.47, [20] j.w. s.50, [21] j.w. s.54,
[22] j.w. s.59



Stary most w Mostarze - linoryt W. Lam ok. 1960



Miasteczko na południu Francji - drzeworyt W. Lam 1926



Don Kichot w gotyckiej komnacie ... (z teki DON QUIJOTE) - drzeworyt W. Lam 1922-24



PROF. MAKSYMILIAN TYTUS HUBER

ostatni prezes Kasy im. Mianowskiego

Urodził się 4.1.1872 r. w Krościenku n. Dunajcem. Mając 18 lat rozpoczął studia techniczne we Lwowie. Jako wybitnie uzdolniony odbył dodatkowe studia w Berlinie. Doktorat uzyskał we Lwowie w 1904 r., a w 1914 r. został wybrany rektorem, lecz funkcji tej nie objął, ponieważ wraz z wojskową załogą twierdzy Przemyśl dostał się do niewoli rosyjskiej. W 1918 r. wrócił do Lwowa i w roku akademickim 1921/22 był rektorem Politechniki Lwowskiej. W 1923 r. został członkiem "Kasy im. Mianowskiego", a w 1928 r. przeniósł się do Politechniki Warszawskiej. Podczas II wojny światowej aż do Powstania Warszawskiego, pełniąc funkcję prezesa Kasy, zabiegał o ratowanie polskiej nauki. Po wojnie wykładał na Politechnice Gdańskiej, a w 1949 r. wyjechał do Krakowa. W 1950 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa Politechniki Gdańskiej. Zmarł 9 grudnia 1950 r.

Profesor Maksymilian Tytus Huber, powszechnie znany wśród inżynierów mechaników i ceniony daleko poza granicami kraju jako wybitny teoretyk wytrzymałości materiałów, położył również wielkie zasługi dla rozwoju polskiej nauki i kultury, pracując społecznie w zarządzie stowarzyszenia o nazwie "Kasa im. Mianowskiego", które odegrało szczególnie doniosłą rolę w życiu społeczeństwa polskiego na przełomie XIX i XX wieku.

Takie naświetlenie sylwetki Profesora wymaga tła historycznego. Należy więc cofnąć wskazówki zegara.

Po zniesieniu odrębności administracyjnej i finansowej Królestwa Polskiego zabrakło pieniędzy na cele kulturalne. Powstałą lukę społeczeństwo polskie starało się zapełnić ofiarnością publiczną i filantropią. W szesnastą rocznicę wybuchu Powstania Styczniowego odbyło się zebranie grupy osób zaniepokojonych tą sytuacją, na którym zapadła decyzja powołania stowarzyszenia popierania nauki polskiej. Jego nazwa "Kasa" miała pozorować działalność charytatywną, co było konieczne ze względu na terror i drakońskie represje władz carskich po Powstaniu Styczniowym. Dla uczczenia zasług nieżyjącego już rektora Szkoły Głównej[1] dra Józefa Mianowskiego stowarzyszenie ostatecznie przybrało nazwę "Kasa im. Mianowskiego". Na jej prezesa zarząd powołał, cieszącego się ogromnym autorytetem społecznym, dra Tytusa Chałubińskiego "odkrywcę" Zakopanego. Fundusze "Kasy" stanowiły: dobrowolne składki członkowskie, darowizny, zapisy testamentowe oraz dotacje rozsianych w Europie i Ameryce Polaków, a nawet wpłaty od zesłańców z dalekiej Syberii.

Ofiarność publiczna nie była jednak w stanie zabezpieczyć egzystencji ludziom pracującym dla kultury i nauki. Położenie intelektualistów polskich było bardzo trudne. "Naukę uprawiano dorywczo, poświęcając jej dni wypoczynku świątecznego oraz niedospane godziny nocne. Oddawano się jej bezinteresownie, bez widoków na jakiekolwiek korzyści materialne, w przeświadczeniu, że się spełnia obowiązek służby narodowej" - tak o tym okresie pisał później Władysław Smoleński. Praca naukowa przybierała więc charakter misji, posłannictwa, stawała się służbą społeczną.

Przeglądając listę ofiarodawców na rzecz "Kasy im. Mianowskiego" znajdujemy takie osoby jak np.: "Jakub Natanson - profesor, Jan Nepomucen Jaśkowski - ziemianin, Stanisław Rotwand i Hipolit Wawelberg - bankierzy, Stanisław Hiszpański - majster szewski, Witold Zglenicki - inżynier górniczy."

Witold Zglenicki studiując w Instytucie Górniczym w Petersburgu poznał Mendelejewa. Zamiast objąć proponowane mu stanowisko w Zagłębiu Donieckim, pojechał na Kaukaz, gdzie zorganizował przedsiębiorstwo poszukiwań geologicznych. Po długich staraniach rząd carski zgodził się sfinansować zasypanie dwustu dziesięcin morza w celu prowadzenia wierceń poszukiwawczych. Ropa naftowa chlusnęła potężnym strumieniem z dna Morza Kaspijskiego i przez długie lata biła ta gigantyczna fontanna. Zglenicki zapisał swoje działki roponośne "Kasie im. Mianowskiego" w Warszawie z klauzulą, którą cytuję: "... dla utworzenia kapitału żelaznego pod warunkiem, żeby procent od tego kapitału był użyty na wydawanie nagród, wedle uznania Zarządu Kasy, za najlepsze dzieła, dotyczące ogólnopolskiej

literatury, sztuki i nauki w rodzaju nagrody Nobla".

Kiedy Zglenicki podbijał Kaukaz, Ernest Malinowski na terenie Peru budował pierwszą kolej transandyjską (osiągając wysokość 4768 m n.p.m.), Edward Habich organizował w Limie Wyższą Szkołę Inżynieryjną, Stanisław Kierbedź przerzucał mosty stalowe przez Newę i przez Wisłę, Gabriel Narutowicz współuczestniczył w rozwoju szwajcarskiej hydroenergetyki, Stefan Drzewiecki początkowo w Rosji, a potem we Francji konstruował łodzie podwodne i rozwiązywał teoretyczne podstawy lotnictwa, a Maksymilian Tytus Huber przygotowywał się do rozwiązania teoretycznych problemów swej hipotezy wytrzymałościowej.

Znakomicie zapowiadający się młody naukowiec dr M.T. Huber, wykazywał wyjątkowe walory umysłu i charakteru, a prowadząc otwarty i aktywny tryb życia, był znany, lubiany i szanowany. W 1914 r. został wybrany rektorem Szkoły Politechnicznej we Lwowie, jednak urzędu nie zdołał objąć, bo jako jedyny nie wyreklamowany z wojska rektor austriacki, został wcielony do armii i wraz z całą załogą twierdzy Przemyśl dostał się do niewoli rosyjskiej. Dzięki życzliwości, znanego mu jedynie z publikacji naukowych, prof. Stefana P. Timoszenki oraz usilnym staraniom tamtejszej Polonii - dr M. T. Huber mógł uczyć w polskiej szkole i pracować naukowo.

Lekceważony początkowo zapis testamentowy Zglenickiego wkrótce zaczął owocować. Narastający strumień pieniędzy, po 1900 r. zamienił się w rzekę. Wydawano nie skĄpiąc pieniędzy, a z roku na rok powstawały znaczne rezerwy kasowe, bowiem ówczesny świat naukowy Królestwa nie był dostatecznie silny, by mógł przetworzyć na wiedzę tak duże sumy.

Kasa finansowała: wyjazdy zagraniczne, badania naukowe, czasopisma popularnonaukowe, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, Filharmonię, Muzeum Techniki, Obserwatorium Magnetyczne w Świdrze, Warszawskie Towarzystwo Naukowe, Słownik Języka Polskiego, "Kosmografię" Jędrzejewicza, "Astronomię" Kowalczyka, "Fizykę" Witkowskiego, "Encyklopedię Staropolską" Glogera...

Pracowano bez rozgłosu, aby nie zwrócić uwagi władz carskich, zwłaszcza że wbrew statutowi pomagano również uczonym z innych zaborów.

Do chwili nacjonalizacji złóż ropy naftowej Związku Radzieckiego w 1919 r. same dywidendy z tytułu eksploatacji kaukaskich działek szacowane były na ponad trzy miliony rubli w złocie. Jedynie niewielka część pieniędzy była zdeponowana w bankach zachodnich. Po Rewolucji rzeka pieniędzy wyschła. W 1923 r. Rząd Polski uzależnił uznanie nowego państwa ZSRR m. in. od pozytywnego załatwienia "należności Kasy na zasadzie testamentu zmarłego w 1904 r. inż. Zglenickiego". Istnieją przesłanki, że na podstawie osobistych sugestii Lenina nadeszła odpowiedź, zawierająca m. in. takie stwierdzenie, że Rząd Związkowy wyraża zgodę wzięcia pod uwagę ... "pretensji Towarzystwa, jednak zgoda ta ma charakter zupełnie wyjątkowy i nie może posłużyć za precedens dla innych pretensji prywatnych do Federacji Zakaukaskiej". Wydaje się, że był to jedyny przypadek uznania przez Rewolucję słuszności odszkodowania z tytułu znacjonalizowania kapitalistycznej własności na terenie ZSRR. Niestety dalszy bieg wydarzeń uniemożliwił wyegzekwowanie tej zgody i ogromna fortuna została bezpowrotnie zawłaszczona.

Pierwsze lata niepodległego bytu państwowego Polski obfitowały w nie lada trudności. Musiały być one niepokojące, skoro Stefan Żeromski tak żarliwie apelował do społeczeństwa pisząc w 1924 roku o "Kasie im. Mianowskiego": "Wbrew wszystkiemu powstała i na przekór wszystkiemu przetrwała. Patrzyła na olbrzymią ruinę rządów zaborców i doczekała się końca niewoli. Miałażby dziś, gdy obaliły się i w proch obróciły się wszystkie przeszkody, które jej powstaniu i działalności stały na zdradzie, nie znaleźć poparcia wśród wolnego polskiego narodu? Zasłużona, dostojna, wzniosła krynica wiedzy miałażby wyschnąć właśnie w Polsce niepodległej, cudownym zrządzeniem losów z kajdan wyjarzmionej?... W wolnym państwie polskim nauka nie może być wyżebrana, podpatrzona, przemycana, musi być polska. Nauka - to przeczyste, wysokie jezioro w górach, niebiosa nieskończoności odbijające, musi być nasze, własne, ojczyste".

Gdy z chaosu końca I wojny światowej wyłaniała się niepodległość Polski, trwały jeszcze rozliczne niepokoje i piętrzyły się trudności bytu państwowego i organizacji życia społeczeństwa. Prof. M.T. Huber, z charakterystyczną dlań energią i rozwagą, natychmiast przystąpił do tworzenia struktur życia naukowego, nie zaniedbując własnej pracy naukowej. Przy różnych okazjach wypowiadał się on o wartości pracy uczonego. A oto kilka cytatów:

..."bez teorii nie wzniosłaby się technika do poziomu umiejętności, lecz pozostałaby rzemiosłem". "Umysł wyszkolony na naukowych

teoriach i przesiąknięty filozofią przyrody może w sposób jawny i jasny interpretować wyniki doświadczeń". "Tego wyczucia nie daje samo formalne wykształcenie matematyczne bez głębszego ujęcia przyrodniczego". "Ubóstwo myśli przyrodniczej niekiedy zasłaniane jest rozmyślnie złożonym aparatem matematycznym. Jest to niesympatyczna forma nadużywania tej "królowej nauk" (jak matematykę nazwał Śniadecki)[2]".

Gospodarowanie pozostałością funduszy Kasy w powojennych skomplikowanych warunkach administracyjno-prawnych wymagało ogromnego wysiłku społecznego od ludzi nauki.

Przeglądając skład osobowy komitetu "Kasy im. Mianowskiego" spotyka się szereg znanych nazwisk, jak np.: Wojciech Świętosławski, Tadeusz Lehr-Spławiński, Zygmunt Szweykowski, Czesław Białobrzeski, Stanisław Ossowski, Tadeusz Manteuffel, Stefan Straszewicz, Stanisław Hiszpański, Adam Wrzosek, Maksymilian Tytus Huber.

Przez wiele, wiele lat nazwisko Profesora Hubera przewija się w składzie komitetu Kasy oraz licznych jej komisji. W przededniu wybuchu II wojny światowej zmarł nagle prezes komitetu prof. Karol Lutostański. Obowiązki prezesa przejął więc dotychczasowy wiceprezes prof. Huber. W czasie II wojny światowej, aż do pierwszych dni Powstania Warszawskiego, reprezentował On Kasę przy nieuniknionych kontaktach z władzami okupacyjnymi i Zarządem m. Warszawy oraz organizował konspiracyjną działalność Kasy. W tych niezwykle trudnych warunkach zabiegał o ratowanie i zabezpieczenie dorobku naukowego. Pomagał realizować nieliczne, możliwe do przeprowadzenia prace, starał się nieść pomoc materialną pracownikom naukowym, częstokroć pozostającym bez środków do życia. Pomoc ta jednorazowo dotarła do pracowników Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, które było odgrodzone kordonami granicznymi od Warszawy. Równocześnie zaś pracował twórczo nad dalszym rozwijaniem naukowego tematu swego życia, lecz większość rękopisów Profesora podzieliła los stolicy.

Wśród pierwszych organizatorów Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej znajdował się Profesor Huber. Rozpoczęcie roku akademickiego 1945/46 było jakże doniosłym wydarzeniem dla leżącego w gruzach Gdańska. Wykład inauguracyjny wygłosił Profesor Huber. Motto Jego wykładu brzmiało: SALUS REI PUBLICAE SUPREMA LEX ESTO, co znaczy "dobro Rzeczypospolitej winno być najwyższym prawem".

"Profesor przyszedł na swój pierwszy powojenny wykład z małym plecaczkiem na ramieniu, w którym były jego notatki do wykładu... Wszedł do sali powolnym krokiem, nieco przygarbiony... Wykładał interesująco, dość cichym głosem, zwracając uwagę na precyzję dowodu przedstawianej tezy... Przynosił ze sobą kredę starannie owiniętą w papier i trzymał ją pionowo w prawej ręce, mówiąc do niej tak, jakby starał się tej kredzie wytłumaczyć wszystkie tezy i zawiłości wykładu"[3].

Ostatnie lata swej działalności związał On z Politechniką Gdańską, pomimo że Politechnika Warszawska i Akademia Górniczo-Hutnicza usilnie zapraszały Profesora do siebie. W 1949 r., w wieku 77 lat, wyjechał do bliskiego sercu Krakowa. W 1950 r. Politechnika Gdańska uhonorowała Profesora, jako pierwszego w swej powojennej historii, tytułem doktora honoris causa.

Tradycje "Kasy im. Mianowskiego" przejęła Polska Akademia Nauk utworzona w 1951 r.

Wacław Dziewulski

---

[1]Dzięki rozlicznym zabiegom i wieloletnim staraniom, po 30 latach bez wyższej szkoły kształcącej inteligencję humanistyczną, w 1862 r. w Warszawie otwarto Szkołę Główną czyli uczelnię uniwersytecką, która przetrwała zaledwie siedem lat.

[2]Cytaty wg. Zbigniew S. Olesiak: "Maksymilian Tytus Huber. W 120 lecie urodzin". Nauka Polska nr 5-6, 1992 r.

[3]*ibidem*.





Sprawa Pohlhausena

Od początku istnienia Politechniki Gdańskiej przywiązywano tutaj wielką wagę do nauk podstawowych a zwłaszcza matematyki. Pierwszym wybitnym jej profesorem był Hans von Mangoldt, autor znakomitego *Wstępu do matematyki wyższej*, rektor uczelni w l. 1904-1907. Kiedy w r. 1925 zmarł, powstały wakat niełatwo było wypełnić. Z uwagi na rosnące znaczenie matematyki stosowanej szukano przede wszystkim specjalisty z tej dziedziny. Wybór padł na Ernsta Pohlhausena z uniwersytetu w Rostocku. We wniosku o powołanie, podpisanym przez stojącego wówczas na czele Wydziału Matematyczno - Fizycznego prof. Kalähne, czytamy o cechującym kandydata "niezwykłym rozumieniu i umiejętności prowadzenia badań technicznych i teoretycznych, doprowadzanych zawsze do rachunków na liczbach" oraz o wykładach z mechaniki i analizy "cieszących się, jak słyszymy, wielkim powodzeniem."

Według zachowanych w gdańskim Archiwum akt personalnych Ernst Pohlhausen urodził się 20 maja 1890 r. w Mittweida w Saksonii. Po ukończeniu gimnazjum realnego w Dreźnie studiował w l. 1909-1914 matematykę stosowaną na uniwersytecie w Getyndze. W czasie wojny służył w piechocie w randze porucznika. Pod jej koniec odbył przeszkolenie lotnicze, po czym odkomenderowano go do ... politechniki w Akwizgranie. Po wojnie wykonywał obliczenia statyczne i aerodynamiczne dla produkującej wówczas samoloty stoczni w Warnemünde. W r. 1919 uzyskał chwalebnie doktorat w Getyndze za pracę o płaskim przepływie potencjalnym wokół dwupłatowca. Tuż potem ożenił się z młodszą o 4 lata Irmą Wunderlich, z którą miał później dwóch synów: Dietera urodzonego w 1920 r. i Ulricha (ur. 1922) oraz córkę Giselę (ur. 1923). W 1921 r. został profesorem nadzwyczajnym a w 1924 -zwyczajnym uniwersytetu w Rostocku. Miał w dorobku cenne prace naukowe z teorii przepływów, wymiany ciepła, statyki i teorii drgań. Wszystko wskazywało, że będzie dla Politechniki Gdańskiej wartościowym nabytkiem.

Po zaproszeniu kandydata do Gdańska i uzyskaniu jego zgody Senat Wolnego Miasta powołał go na profesora zwyczajnego. Ale władze Meklemburgii, którym podlegał uniwersytet w Rostocku, nie zamierzały się pozbywać młodego uczonego. Przeważyły dopiero racje polityczne. "Sytuacja Gdańska wymaga jak najszybszego obsadzenia wakujących katedr, tak żeby przez opieszałość nie zaszkodzić dopływowi studentów z Niemiec i by na trwałe zapewnić zamknięty charakter niemieckiej kadry profesorskiej." Tak pisał gdański senator Strunk do swojego kolegi w Schwerinie. Argument pomógł. Od pierwszego kwietnia 1926 r. Pohlhausen objął obowiązki w Gdańsku z uposażeniem 1195 guldenów. Na urządzenie katedry otrzymał dodatkowo 500 guldenów. Przenosząc się do Gdańska musiał zmienić obywatelstwo i zaprzysiąc na Ratuszu "wierność konstytucji Wolnego Miasta Gdańska, posłuszeństwo prawom i sumienne wypełnianie obowiązków służbowych." Formułę religijną "tak mi dopomóż Bóg" wolno było opuścić, jeżeli była sprzeczna z przekonaniami składającego przysięgę. Pohlahausen tego nie zrobił.

Pierwsze miesiące pracy nie były łatwe dla młodego profesora. Przytłaczała go dydaktyka, zwłaszcza ćwiczenia i egzaminy. Z braku asys-

tenta musiał poprawiać przeszło 200 prac tygodniowo. Wbrew obietnicom nie przydzielono mu mieszkania. Dopiero w maju wydział lokalowy prosi go o odpowiedź na pytania: a) gdzie profesor mieszka, b) jak liczną ma rodzine i c) jakie mieszkanie wchodziłoby w rachubę. Z odpowiedzi dowiadujemy się, że mieszkał we Wrzeszczu, Luisental (Kossaka) 3 i że pożądane byłoby mieszkanie 6-7 pokojowe (!). Sprawa się przewleka, podwójne gospodarstwo dużo kosztuje i w końcu zniecierpliwiony petent sprowadza z Rostocku żonę, bo "sam nie jest w stanie prowadzić dostatecznie energicznych poszukiwań." Przysłowie "gdzie diabeł nie może ..." jeszcze raz okazuje się słuszne. Na przełomie czerwca i lipca Pohlahausenowie przenoszą się z Rostocku do nowego mieszkania przy Heiligenbrunnerweg (Do Studzienki) 24a. Łączne koszty przeprowadzki w wysokości 2625 guldenów 55 fenigów pokrył - z półrocznym opóźnieniem - Senat Wolnego Miasta.

Mimo tych kłopotów były to chyba najszczęśliwsze lata w życiu Pohlhausena. Władze uczelni w prawie każdej sprawie szły mu na rękę. We wrześniu 1926 r. przyznano mu 250 gld. na wyjazd na konferencję mechaniki teoretycznej w Zürichu, konieczny jak pisał "dla nawiązania od dawna zaniedbanej współpracy między inżynierami a matematykami." Regularnie podwyższano mu uposażenie, przyznawano gratyfikacje, subwencje i zwroty kosztów. Od listopada 1926 r. miał już asystenta. W 1928 r. urodził mu się trzeci syn, Günther, ochrzczony w kościele garnizonowym przy Johannistal (Matejki). Podaniu o związany z tym zasiłek nadał oryginalną postać: "20.9 zaszło w mojej rodzinie wydarzenie, które przyjęło się uważać za radosne. Młody pan Günther P. prosi uniżenie o wypłacenie należnego mu *salarium* w wysokości 30 gld." Takiej prośbie nie można było odmówić, pieniądze wypłacono. Nieco później musiało dojść do jakichś komplikacji zdrowotnych, bo we wrześniu Pohlhausen pobiera zaliczkowo 600 gld. na pokrycie kosztów operacji, nie podano jednak czyjej - matki, noworodka, czy jego samego?

Pozostałe sprawy przebiegają pomyślnie. W 1929 r. powierzono Pohlhausenowi redakcję albumu Politechniki, który okazał się sukcesem. Swoboda w obejściu i rubaszny humor zyskiwały mu sympatię studentów, o czym świadczą liczne anegdoty. W tym czasie życzliwie traktował Polaków. Był w zgodzie z sobą i światem. To wszystko miało się wkrótce zmienić.

W roku 1931 wydarzyło się nieszczęście: 8 czerwca umarł mały Günther. Niedługo potem Pohlhausen zaczął się obracać w kręgach nacjonalistycznych, od których był już tylko krok do zwolenników Hitlera. Wiosną 1933 roku zostaje członkiem NSDAP. Jak wynika z zachowanych wykazów, niewielu kolegów z uczelni poszło w jego ślady. W rejonie Politechniki do partii należało tylko 3 profesorów (Eiselin, Flügel i Mangold). Trudno powiedzieć, jakie były motywy tego kroku - tragedia w rodzinie, rozdźwięki w małżeństwie, czy przysłowiowa "smuga cienia". W tym czasie hitlerowcy przejmowali władzę w Gdańsku. Może dojrzał szansę zrobienia kariery? Natomiast nie ma dowodu na przypisywaną mu niekiedy przynależność do SA. W zachowanych w komplecie, corocznie aktualizowanych stanach osobowych bojówek SA w Gdańsku z lat 1937-1943 jego nazwisko nie figuruje. Nie ma tam w ogóle żadnego profesora Politechniki. W tej formacji liczyły się mięśnie - nie mózgi.

Nadzieje na karierę szybko się ziściły. Nowe władze wprowadzają na Politechnice zasadę jednoosobowego kierownictwa. Na jesieni 1933 r. "tow." Pohlhausen zostaje przywódcą (führerem) a w lutym następnego roku rektorem uczelni, co wiąże się ze zmniejszeniem pensum i przyznaniem 205 gld. dodatku funkcyjnego "pod warunkiem, że jak uzgodniono nadal pozostanie w Gdańsku." Podobnym zastrzeżeniem obwarowano przyznanie dodatku specjalnego w 1938 r. Czyżby świeżo mianowany rektor groził, że wyjedzie?

Dodajmy, że tryb powołania rektora nie miał nic wspólnego z demokracją i samorządnością. Opierał się na świeżo wprowadzonym dekrecie "o uproszczonym zarządzaniu uczelniami." Nominacja była regularnie przedłużana.

Totalitarny reżim ujawnia swoje oblicze. Zaczyna się usuwanie z uczelni osób, nie odpowiadających hitlerowskim kryteriom rasowym i politycznym. Funkcja partyjnego rektora ma swoje nieprzyjemne strony. Świadczy o tym poufne pismo z 7 marca 1935 r.: "w związku z propozycją obsadzenia wakujących katedr na Architekturze przez dr inż. Müntera i dr inż. Witta proszę o odwrotne wyrażenie opinii o (ich) politycznej postawie (...) Opinie należy przekazać bezpośrednio gauleiterowi." Pohlhausen nie spieszy się z wypełnieniem tego obowiązku. Jeszcze 18 marca na piśmie pojawia się adnotacja "dotychczas brak odpowiedzi." Nie wiemy czy i kiedy nadeszła, ale znamy decyzję gauleitera: z Wittem kontrakt odnowiono, Münter musiał opuścić uczelnię.

Na brak zajęcia Pohlhausen nie może się

skarżyć. W maju 1936 r. wchodzi w skład 15-osobowej komisji Senatu WM d/s Duchowej Współpracy. Pod tym enigmatycznym tytułem kryje się dbałość o "czystość" ideologiczną. W czerwcu zostaje powołany do Kolegium Dyscyplinarnego dla pracowników Politechniki. W lutym 1938 r. spotyka go jeszcze większy "zaszczyt" - sam Göring powołuje go na członka Niemieckiej Akademii Lotnictwa. W czerwcu Senat Wolnego Miasta przyznaje mu odznaczenie za wierną służbę (II klasy) - odpowiednik Krzyża Zasługi. Z ramienia partii jest przywódcą Narodowo-Socjalistycznego Związku Nauczycieli Akademickich.

W tym czasie ma już drugą żonę, dr fil. Evę Manger, młodszą wiekiem (o 19 lat) ale starszą stażem partyjnym - do NSDAP zapisała się już w r. 1931. O losach pierwszej żony akta milczą. Być może wiadomość o operacji w 1928 dotyczyła właśnie jej. W rejestrach zgonów kościoła przy ulicy Matejki brak jej nazwiska. Nowy ożenek zwiększa dochody Pohlhausena, które w styczniu 1939 r. osiągają kwotę brutto 1674 gld. Od tego odtrącano podatek (14%), składkę na kościół itp., ale reszta wystarczała na dostatni byt.

I oto w tym momencie życia, u szczytu kariery zawodowej i politycznej, Pohlhausen staje w obliczu wydarzeń, które miały wykazać czy dorósł do swojego stanowiska. Na temat tych wypadków istnieje w Archiwum licząca 657 stron teczka Senatu WM, najpełniej jak dotąd wykorzystana w pracy H. Polaka "Młodzież Polska na Politechnice Gdańskiej w l. 1920-1939", zamieszczonej w Gdańskich Zeszytach Humanistycznych Nr 13 z 1965 r. Są tam szczegółowe relacje z zajść spisane bezpośrednio po nich, noty dyplomatyczne, korespondencja i zapiski wyrażające stanowiska obu stron, notatki prasowe i wiele innych cennych informacji. Podobny zbiór akt znajduje się w zespole Komisarza Generalnego RP w Gdańsku.

Nie jest moim celem przedstawianie dość dobrze znanego przebiegu wydarzeń. Ograniczę się do faktów i relacji mających bezpośredni związek z rektorem Pohlhausenem i obrazujących jego role i stosunek do sprawy. Łańcuch zajść rozpoczął się od antypolskiej wywieszki w Café Langfuhr we Wrzeszczu, 29 stycznia 1939 r. W odpowiedzi na to studenci polscy uchwalili w lokalu Bratniej Pomocy ostrą rezolucję, domagającą się przywrócenia władztwa Polski nad ujściem Wisły. Władze gdańskie dowiedziały się o tym z polskich gazet. 23 lutego gauleiter Forster nakazał rektorowi wyciągnięcie jak najostrzejszych konsekwencji aż do relegowania z uczelni włącznie. Jednocześnie przygotowano rozwiązanie siłowe. Następnego dnia od godziny 10^{20} umundurowane grupy Niemców przystępują do usuwania polskich studentów z sal wykładowych i kreślarni. Akcja była zaplanowana z góry, o czym świadczy fakt, że już dużo wcześniej skoncentrowano pod bramą policję. Rektora w czasie zajść nie było w uczelni. Niektórzy profesorowie, proszeni przez Polaków o wzięcie ich w obronę i powstrzymanie napastników, odpowiadali, że nic nie mogą zrobić, bo rektor jest nieobecny, a tylko on może interweniować w podobnych przypadkach. Takiej odpowiedzi udzielił także zastępujący Rektora dyr. Stünkel. Z zachowanego w aktach protokółu wiadomo, że rektor brał w tym czasie udział w naradzie u wiceprezydenta Senatu WM Hutha, gdzie omawiano możliwości zaostrzenia postępowania dyscyplinarnego wobec polskich studentów odpowiedzialnych za rezolucję. Nie mógł więc, jak to mu się przypisuje, stać w bramie i wygłaszać złośliwych komentarzy. W każdym razie nie tego dnia. Natomiast, jak się dowiadujemy z pisma Zarządu Bratniej Pomocy z 25 lutego, rektor odmówił przyjęcia 4 przedstawicieli polskich studentów, wnoszących skargę. Jednocześnie, zgodnie z poleceniem władz rozpoczęło się postępowanie dyscyplinarne w sprawie rezolucji. Przesłuchania odbyły się 24 i 25 lutego. Rektor nie brał w nich udziału, za to 1 marca przewodniczył posiedzeniu senatu Politechniki (6 osób!), na którym obarczono 5 członków Bratniej Pomocy odpowiedzialnością za rezolucję i zaocznie relegowano z uczelni.

Przebieg zajść w poniedziałek 27 lutego wskazuje również na ich planowe przygotowanie. Sposób działania był wszędzie podobny. Grupy Niemców, liczące 60 do 100 osób, krążyły od sali do sali dając sobie sygnały gwizdkiem. O 10^{00} nie wpuszczono Polaków na salę w Instytucie Chemii. O 10^{10} zaczęto ich wyrzucać z sali 186 (według dawnej numeracji), o 10^{15} z sali 125, o 10^{25} z s. 101, 10^{30} z s.75, 10^{35} z s. 178 itd. Wyważano drzwi, niszczono sprzęty. Dotkliwą szkodą było zniszczenie części prac i rysunków. W kilku przypadkach doszło do ciężkiego pobicia.

Rektor tym razem był obecny. Przed salą 101, w której miał mieć wykład, studenci niemieccy utworzyli szpaler i popychaniem, i biciem, usiłowali zmusić Polaków do opuszczenia korytarza. Przybycie Pohlhausena o 10^{25} uspokoiło ich. Na prośbę jednego z Polaków o interwencję powiedział "idźcie lepiej do domu" i

odszedł, co wyzwoliło na nowo agresję ze strony Niemców. Kiedy później dowiedział się, że na sali pozostała polska studentka, która nie dała się usunąć, wezwał ją do siebie i oświadczył, że uznaje jej zachowanie za prowokacyjne. Spotkanego na korytarzu innego studenta, ciężko pobitego w sali 120, wziął w ochronę, polecając mu udać się do sali senatu, skąd jednak natychmiast wyrzucił go woźny. Rektor kazał mu później czekać na siebie przed swoim gabinetem, ale nie przyszedł. Wiemy też, że bezczynnie obserwowal zajścia przed gmachem, a na pytanie jednego z Polaków, co się dzieje, rozłożył ręce i odpowiedział "to nie ja, to studenci", dając dowód swojej bezradności.

Jednocześnie zadbał jednak o właściwe naświetlenie swojego postępowania w oczach zwierzchników. W przesłanej do Senatu WM własnej wersji wydarzeń obciąża winą studentów polskich, którzy na jego wykładzie znaleźli się bezprawnie, bo nie byli wpisani. Zażądał opuszczenia sali, bo prowadzenie wykładu było w tych warunkach niemożliwe. Studenci wyszli "w zrozumiałym podnieceniu ale dobrej dyscyplinie". Towarzyszył im osobiście do bramy, żeby zapobiec wybrykom. Aby uniknąć dalszych zajść, kazał zamknąć bramy Politechniki. Nie widział innej możliwości, "bo prowokacje polskie stają się coraz ostrzejsze i bardziej planowe, a oburzenie studentów niemieckich rośnie, bowiem do tej pory brakuje ze strony polskiej wyjaśnienia obrażającej Niemców rezolucji".

Dalszy tok spraw był wielokrotnie opisywany. Napięcie rośnie, opinia publiczna w kraju domaga się radykalnych rozwiązań. Jak później przyznał radca Komisariatu Generalnego Zalewski, "brakowało tylko iskierki a byłaby interwencja zbrojna". Trwają zabiegi strony polskiej o umożliwienie studentom powrotu na uczelnię. Powstaje komisja mieszana, której ostatecznie udaje się osiągnąć kompromis. Wśród tej gorączkowej atmosfery 10 kwietnia rodzi się córka Pohlhausena, Uta. Poród był ciężki, rekonwalescencja żony długa i kosztowna. Jeszcze w październiku Pohlhausen uzyskuje z tego tytułu wysoki zasiłek.

W dniu 17 kwietnia dochodzi wreszcie do podpisania polsko-gdańskiego porozumienia, zapewniającego Polakom powrót na uczelnię. Komunikat prasowy mówi o "zadowalających wyjaśnieniach " strony polskiej. Ale ugoda, to nie wszystko, trzeba ją jeszcze zrealizować. I jeżeli kiedykolwiek, z naszego punktu widzenia, rektor Pohlhausen odegrał negatywną rolę, to właśnie teraz. Komisariat Generalny oskarża go wręcz o sabotaż. Oto przykłady:

25 kwietnia: Rektor nie przyjmuje do wiadomości pisma Bratniej Pomocy, informującego go o powstaniu tymczasowego nowego kierownictwa i proponuje powołanie wspólnej komisji dla wprowadzenia w życie zawartego porozumienia. Motywuje to tym, że wymieniony w piśmie Jan Kazimierz Dąbrowski nie jest oficjalnie zarejestrowanym studentem. "Nie mam zamiaru dopuścić do nowych niesubordynacji ze strony polskich studentów". Ustępuje dopiero po interwencji Senatu WM.

3 maja: odpowiada odmownie na większość propozycji Bratniej Pomocy, mających na celu ułatwienie wyrównania powstałych zaległości w studiach. Zgadza się jedynie przekazać z powrotem kreślarnie.

5 maja: radca Zalewski skarży się w Senacie, że rektor nie chciał przyjąć polskich studentów, a na ich pismo odpowiedział odmownie, w szorstkiej formie. Odpowiedź radcy Siegmunda: "stanowisko rektora może mieć związek z ostatnimi wiadomościami o szykanowaniu niemieckich studentów na polskich uniwersytetach" (chodziło o Poznań). Riposta Zalewskiego: "tych trudności przedtem w Polsce nie było - wywołało je negatywne i nieprzejednane stanowisko rektora".

"Przepychanki" kończą się wydaniem przez polskie władze zakazu kontynuowania studiów na Politechnice Gdańskiej przez polskich studentów. Od nich dowiadują się o tym pracownicy, którzy informują o tym rektora. W piśmie, jakie w związku z tym przesłał do Wydziału Spraw Zagranicznych, dominuje uczucie ulgi: "Oświadczenia polskich studentów dostarczają wyraźnego dowodu na to, że to nie władze Politechniki tylko polski rząd sam nie pozwala polskim studentom kontynuować studiów. Z naszej strony nie ma oczywiście żadnego powodu, aby nad takim krokiem rządu polskiego ubolewać".

Na tym w zasadzie sprawa się kończy. Dla zobrazowania postępującego upolitycznienia szkolnictwa wyższego warto jeszcze przytoczyć nową formułę przysięgi, jaką Pohlhausen jako profesor politechniki musiał złożyć 4 maja 1939 r.: "Przysięgam: będę wierny i posłuszny Wolnemu Miastu Gdańskowi i jego narodowosocjalistycznemu kierownictwu, (będę) przestrzegał praw i sumiennie wypełniał obowiązki służbowe, tak mi dopomóż Bóg".

Po wybuchu wojny Pohlhausen został wcielony do wojska, ale nadal pełnił funkcję rektora. W marcu 1941 r. Politechnika została bezpośrednio podporządkowana berlińskiemu mi-

nisterstwu Nauki, Wychowania i Oświaty, które wydało zarządzenie o zaostrzonej dyscyplinie. Pohlhausen pojechał do ministerstwa i oświadczył, że dopóki jest rektorem, w swojej uczelni tego rozporządzenia nie wprowadzi. W odpowiedzi usłyszał: "W takim razie nie będzie Pan długo rektorem!", na co zareagował ... przedstawieniem swoich następców: prof. Martyrera i prof. Schwenkhagena, których na wszelki wypadek zabrał ze sobą. W zamian za utracone stanowisko otrzymał dobrze płatną synekurę - został kuratorem wyższych uczelni w prowincji Gdańsk - Prusy Zachodnie.

Tymczasem starszy syn, przeciętny absolwent Conradinum, rozpoczął w przerwach między okresami służby wojskowej studia na Politechnice. Ostatnie wiadomości o nim pochodzą z semestru zimowego 1942/1943. Z innych źródeł wiemy, że obaj synowie Pohlhausena zginęli na wojnie. On sam wraz z resztą rodziny opuścił Gdańsk jednym z ostatnich transportów przed zajęciem miasta przez Rosjan. Po wojnie pracował jako robotnik budowlany w Kilonii. Kiedy Francuzi zaproponowali mu dobrze płatną posadę w przemyśle zbrojeniowym, odmówił. Wsławił się opracowaniem nowej metody obliczania elementów łodzi podwodnych przy użyciu własnoręcznie skonstruowanego komputera. Zmarł w Kilonii 4 marca 1964 r.

Pohlhausen umarł, jego sprawa żyje nadal i budzi emocje. Może podane tutaj informacje pozwolą na głębsze spojrzenie.

Andrzej Januszajtis







PROF. IGNACY ADAMCZEWSKI

HONOROWY OBYWATEL GDAŃSKA

Organizowanie od podstaw pracy naukowej i dydaktycznej po kataklizmie wojennym, na polskiej już Politechnice, było równoznaczne z trudem budowania nowej uczelni. Tego niezwykłego zadania, wymagającego odwagi, mądrości i poświęcenia, podjęli się ludzie, zasługujący na miano prawdziwych Pionierów. Jednym z nich, głównym twórcą fizyki na odrodzonej Politechnice, jest Prof. Ignacy Adamczewski.

Oto parę dat z Jego życiorysu: urodzony w Warszawie 25 stycznia 1907 r., studia na Uniwersytecie Warszawskim ukończył w 1931 roku; doktoryzował się tamże w r. 1936, jako asystent i współpracownik prof. Czesława Białobrzeskiego. Tematem pracy doktorskiej była "Ruchliwość i rekombinacja jonów w ciekłych dielektrykach w zależności od lepkości cieczy". Tematykę tę kontynuował i rozwijał przez całe życie i w niej odniósł największe sukcesy, stając się jednym z jej głównych przedstawicieli w świecie i tworząc własną szkołę naukową.

Po wybuchu wojny wziął udział w kampanii wrześniowej, potem w trudnych warunkach kontynuował badania wraz z prof. Białobrzeskim. W 1940 r. dostał się - na szczęście na krótko - do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Pod koniec wojny prowadził tajne wykłady z fizyki medycznej i opracował skrócony podręcznik z tej dziedziny, wydany tajnie jako skrypt i wznowiony po wojnie przy pomocy Szwedów. W 1944 r. po upadku Powstania, wraz z żoną i czteroletnim synkiem opuścił zrujnowaną Warszawę i zamieszkał na wsi pod Łowiczem.

Na początku roku 1945 został zastępcą profesora w organizującym się właśnie Uniwersytecie Łódzkim. W końcu lipca 1945 r. przyjechał do Gdańska ... w nadziei na pozyskanie dla pracowni studenckich w Łodzi przyrządów pozostałych po przedwojennej Politechnice. Zorientowawszy się, że w Uczelni brakuje fizyka, zdecydował się na przeniesienie do Gdańska, co nastąpiło ostatecznie w sierpniu. Sytuacja jaką tutaj zastał, była trudna. Mając do dyspozycji zaledwie paru pomocników, musiał uporządkować pomieszczenia, pozbierać resztki aparatury i przygotować zajęcia. 21 września otrzymał oficjalną nominację na kierownika Katedry Fizyki, która później - wbrew chronologii - oznaczona została numerem II. 22 października wygłosił pierwszy wykład, rozpoczynając w ten sposób regularne zajęcia dla studentów.

Przez cały czas istnienia II Katedry Fizyki Politechniki Gdańskiej prof. Adamczewski nią kierował. Do roku 1969 był także kierownikiem Katedry Fizyki przy Akademii Medycznej. W 1962 otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Jest to okres intensywnej pracy naukowej. Do roku 1969 opublikował 115 prac, głównie z dziedziny ciekłych dielektryków, a 15 osób uzyskało doktoraty. Za granicą utarło się określenie "gdańska szkoła ciekłych dielektryków". Podsumowaniem osiągnięć stała się monografia Ignacego Adamczewskiego "Jonizacja i przewodnictwo ciekłych dielektryków", wydana w 1965 r. przez PWN i przetłumaczona na angielski, francuski i rosyjski. Drugą ważną domeną badań była fizyka jądrowa a zwłaszcza detekcja i dozymetria promieniowania. Pionierski charakter w skali krajowej miała wydana w 1959 r. monografia Profesora "Ochrona zdrowia przed promieniowaniem jonizującym".

Profesor Adamczewski zawsze przywiązywał wagę do rzetelnej dydaktyki. Jest autorem podręczników fizyki klasycznej i współczesnej, z których korzystali studenci Politechniki, oraz fizyki medycznej i biofizyki dla studentów Akademii Medycznej. W opracowaniu, dyskutowaniu i poprawianiu kolejnych wydań uczestniczyli wszyscy współpracownicy. Także egzaminowanie studentów odbywało się zespołowo. Profe-

sor zadawał "kończące" pytania i decydował o stopniu.

W latach 1953-54 i 1965-68 prof. Ignacy Adamczewski był dziekanem Wydziału Chemicznego. Po utworzeniu Instytutu Fizyki w 1968 r. został jego pierwszym dyrektorem. W l. 1970-1993 był profesorem Uniwersytetu w Salford (Anglia), początkowo stałym, a od 1974 - wizytującym i honorowym.

Pełna lista publikacji Profesora obejmuje ponad 150 pozycji. Prowadził wykłady i seminaria w 26 uniwersytetach i instytutach światowych. Łącznie pod jego kierunkiem wypromowało się 23 doktorów. Wielu z nich jest dzisiaj profesorami wyższych uczelni. W 1985 r. Politechnika Gdańska nadała Ignacemu Adamczewskiemu tytuł doktora honoris causa. W 1991 r. uczyniła to Akademia Medyczna. Wreszcie 25 maja 1994 r. gdańska Rada obdarzyła go najwyższą godnością jaką dysponowała - Honorowego Obywatela Miasta. Zasłużył na nią swoim życiem i pionierską pracą w dwóch gdańskich uczelniach, swoją patriotyczną postawą i działalnością naukowo-dydaktyczną, swoją rzetelnością i prawością, wysoką kulturą i umiejętnością postępowania z ludźmi. Profesor Ignacy Adamczewski jest jednym z najbardziej aktywnych współtwórców powojennego rozwoju naszej Uczelni; żywym symbolem i uosobieniem obecnego Jubileuszu.

Andrzej Januszajtis



W czasie uroczystości nadania tytułu ....



NINIEJSZYM POTWIERDZAMY

ŻE RADA MIASTA GDAŃSKA

na posiedzeniu w dniu 25 maja 1994 roku

nadała

Prof. dr Ignacemu Adamczewskiemu

godność

HONOROWEGO OBYWATELA

MIASTA GDAŃSKA



Prof. arch. Wacław Tomaszewski - humanista, wizjoner, nauczyciel i przyjaciel młodzieży- *wspomnienia*



Działo się to Anno Domini MDCCCLXXXIV marca dwudziestego ósmego, kiedy to pokazano dziecię płci męskiej, na Chrzcie Św. imię Wacława otrzymać mające, z matki potomnym na chwałę zrodzone. Nie danym mu było wypełnić ambicji ojca swego i w niewoli techniki pracą się zajmować, a pociągnięty ars scientiae pulcherrimae ostał się sculptori et muratori ku chwale bałtyckiego pobrzeża i jantarowego szlaku, gdzie zakładając siedliszcze twórczością do upiększania urbs Gedanensis i Gdyniensis się przyczynił. Tu w mieście Gyddanyzc na akademii architektury pracą się parał, nowe pokolenia muratoris wychowując i do żmudnej pracy ich przyuczając, z których niejeden wielkie osiągnięcia Jemu zawdzięczać winien, co obecni tu słowem zaręczyć mogą. Te osiągnięcia na uwadze mając i w sercach swoich je zachowując ku przypomnieniu obecnym i pamięci potomnym dzień uroczystego osiemdziesięciolecia świętem studentorum scientiae architecturae obwołujemy vivat akademia, vivant professores głośno wyśpiewując.

Curriculum vitae, zawarte w przekazanym na osiemdziesiąte urodziny Profesora "akcie wspomnień", było aktem czci i hołdu dla Solenizanta. Grupa oddanych mu osób - Witold J. Urbanowicz, Lech Zalewski, Witold Arku-szewski, Stefan Philipp oraz piszący te słowa - zjawiła się w domu Profesora w Oliwie przy ul. Polanki 68 z prezentem i sercami pełnymi oddania. Prezentem był rzutnik do wyko-nywania odbitek fotograficznych, ponieważ w tym okresie "Nasz Solenizant" interesował się problemem przygotowywania zestawów zdjęć. Myślę, że nigdy nie robił odbitek, ale nasza grupa mierzyła Jego chęci na zamiary.

Z Profesorem spotkałem się w roku 1947, jako jeszcze słabo "opierzony" student. Zaproponował mi On pracę w swojej pracowni, a następnie zajęcia asystenta wolontariusza. Był to okres, w którym zdobywałem wiedzę i pierwsze "ostrogi".To były cudowne lata stałych konsultacji technicznych oraz przeuroczych gawęd i wspomnień przekazywanych przez Profesora.

Profesor Wacław Tomaszewski urodził się w Rudawicy (d. Starostwo Grodzieńskie). Ukończył Szkołę Realną w roku 1903. Jego rodzice chcieli widzieć Go na studiach politechnicznych na wydziale komunikacyjnym lub budowlanym. On sam wybrał ARCHITEKTURĘ.

Studiował w Karlsruhe (lata 1906-1910) na Wydziale Architektury i jednocześnie malarstwo monumentalne w Akademii Sztuk Pięknych w Karlsruhe, u prof. Funkiego i prof. Hansa Thome. Jak na wszystkich uczelniach, tak i tam były zwyczaje i obyczaje, które wchodziły w rytuał Uczelni. Architekci mieli wykłady z chemii (sic!). Opowiadanie Profesora zaczynało się od wspomnień dotyczących tematu. Wykładowca, prezes Koncernu Naftowego subsydiującego Uczelnię, miał tytularne stanowisko i wykłady, którymi obciążano architekturę. Studenci robili wrażenie zainteresowanych, ale tak naprawdę to nie uczyli się chemii. Przychodził jednak okres egzaminów i to dwustopniowych: pisemnego i ustnego. Zebrani w sali studenci czekali z przejęciem, gdy wykładowca chemii wypisywał tematy na tablicy. Tylko zdążył zakończyć pisanie, gdy otwierały się drzwi i woźny wy-działu informował wykładowcę: "Herr Pro-fessor, bitte zum Telefon". Wykładowca przepraszał gremium, że musi wyjść i opuszczał salę na całe 45 minut. Studenci, jak to studenci, wyjmowali przygotowane "ściągi" i mieli gotowe prace pisemne, kiedy to wchodził znowu woźny, aby po tych sakramentalnych czterdziestu minutach zakomunikować:"meine Herren, Herr Professor kommmt". Naturalnie wszyscy schowali swoje "pomoce naukowe", wykładowca zbierał prace i, o dziwo, wszystkim stawiał bardzo dobry. Druga tura to ustny, trzypytaniowy egzamin. Na dwa pierwsze studenci nie umieli odpowiedzieć - bo i skąd, a na trzecie mieli obowiązek nie odpowiadać, a było to: "co nadaje butom połysk". Każdy pytany z trudem i wysiłkiem zgadywał: pasta, szmatka i ... i niestety nie umiał odpowiedzieć przepraszając wykładowcę, który wtedy z czarującym uśmiechem odpowiadał "SZCZOTKA". I tym akcentem kończył się egzamin z ocenami: - pisemny b. dobry; - ustny niedostateczny - do indeksu średni dostateczny. Takie uroczyste paradoksy zdarzały się też po zakończeniu studiów. Najcenniejszym w skali wspomnień była PRZEPROWADZKA. Po zakończeniu studiów, po otrzymaniu dyplomu,

do "stancji studenta " przyjeżdżała tzw. rolwaga, tj. platforma zaprzężona w dwa konie, aby wyprowadzić studenta. Wynoszono wszystkie jego rzeczy i ładowano na wóz składając w piramidę, na czubku której mocowano krzesło. To krzesło przeznaczone było dla delikwenta. Ten, omijając różne linie napowietrzne, przejeżdżał przez "kwartał ulic" i powracał inną drogą do swojego starego mieszkania. Tam przyjeżdżał już nie student, a architekt Tomaszewski witany przez swoich kolegów i wprowadzany do "inżynierskiego" lokum. Profesor obydwa przypadki wspominał z sentymentem i łezką w oku.

Kolejne studia to Florencja, Rzym, Neapol wraz z inwentaryzacją "Casa poetica" w Pompei pod kierunkiem prof. Durma.

Przed Nim było całe życie. Młode lata po studiach, a potem po pierwszej wojnie światowej, spędził w Warszawie jako projektant w prywatnych pracowniach architektonicznych. Był w pełni sił twórczych gdy odpowiedział na apel min. Eugeniusza Kwiatkowskiego i w 1928 roku przeniósł się do Gdyni. Tu, jak każdy szanujący się architekt projektował, a także nadzorował i prowadził wykonawstwo.

Powstały takie Jego realizacje jak:

- Szkoła Morska
- Zespół magazynów aukcji owocowej WARTA w Gdyni Porcie
- Dom handlowo-mieszkalny "Bergtrans"
- Dom handlowo-mieszkalny "Gdynika"
- oraz wiele domów czynszowych, a także willi.

Realizacje międzywojenne nosiły w sobie dwa elementy piętna czasów, tj. okresu realizacji Gdyni ze wszystkimi trudnościami urbanistyczno-architektonicznymi i pazerności realizatorów. Ale i tutaj humanizm Profesora z jednej strony, a doświadczenie czterdziestoletniego architekta z drugiej, dały nam obiekty stanowiące jeszcze dzisiaj swoiste a dobre rozwiązania. Szkoła Morska ma wszystkie cechy uczelni z rozwiązaniami wysokiej klasy tak funkcji, jak i formy. Jest tu przeprowadzona synteza podkreślanej później na naszej Uczelni idei zaoczenia, tak ważnego perspektywicznego widzenia jak i bezpośredniego oddziaływania. Podobnym był "Dom Bawełny" z koniecznością zachowania absolutnej orientacji północnej ściany, a w konsekwencji budynku ustawionego specyficznie do linii regulacyjnych.

I tu znów oddajmy głos Profesorowi. "Najtrudniejsze rozmowy były zawsze z konstruktorami, dla których parter czysty, przestrzenny , bez ścian i słupów nie istniał. Zawsze coś dzieliło i przeszkadzało. W projekcie budynku na 10-lutego PARTER MUSIAŁ BYĆ PRZESTRZENNY, a więc zmieniało się konstruktorów z odważnych na mniej odważnych, z tradycjonalistów na wizjonerów, aż zjawił się inż. Obmiński (późniejszy profesor Politechniki) i, o dziwo, na parterze nie było słupów". Profesor Tomaszewski bardzo cenił współpracę z prof. Obmińskim, który w latach powojennych był także konstruktorem w projekcie Dworca Kolejowego w Gdyni, realizowanego na przełomie lat 1940/1950. I tu na życzenie Profesora więźba dachowa jest lekką metalową konstrukcją, a słupy parteru w projekcie były smukłe i filigranowe, co cieszyło projektanta. Niestety prof. Obmiński umarł. Jego następca - konstruktor z PKP mógł zaproponować tylko dwa grube pylony. Mógł, bo jako konstruktor bał się cienkich i filigranowych form. Profesor pokiwał głową i powiedział: " wie Pan co, panie Zdzisławie - to na pewno będzie dobrze" - *cały Profesor Tomaszewski* - nie mógł i nie chciał zrobić komuś przykrości, nie założył też zmiany konstruktora, a więc "musiało się jemu podobać".

Po wojnie Profesor niewiele projektował, bo i czasy były BIUROWE, a nie PRACOWNIANE. Powstały jednak Jego budynki: na Korzennej w Gdańsku dla Banku Inwestycyjnego (mieszkalny), Dom Książki we Wrzeszczu, Gmach Izby Przemysłowej w Gdyni, Budynek Głównego Urzędu Rybackiego w Gdyni oraz wspomniany już Dworzec Kolejowy w Gdyni. Prowadził też konsultacje przy projektowaniu części Głównego Miasta, jak i konsultacje przy projektach użyteczności publicznej (Biuro Projektów Morskich).

Profesor Tomaszewski zmarł 5 czerwca 1969 r. i został pochowany na cmentarzu w Gdańsku Oliwie.

Poznanie Profesora i możliwość pracy w Jego pracowni z jednej strony, a przebywania w charakterze "domownika" z drugiej, uważam za najcenniejszy okres studiów. Dom prowadzony był na wysokim poziomie, gdzie np. posiłki nie były formą spotkania przy jedzeniu, ale formą rytuału opartego na tradycyjnych przekazach. Tam nawet kołduny litewskie miały swoją formę i tradycję, tak w sposobie przyrządzania, jak i w stylu podania i konsumpcji. Dom składał się z wielu dostojnych mieszkańców, wśród których celowała żona Profesora, p. Gabriela, ze swoją matką Marią Rodkiewicz i potulną, cichą siostrą Profesora p. Jadwigą, starszą od Wacława o dwa lata.

Zdarzyło się, że zorganizowałem sympozjum na temat perspektyw rozwoju Głównego Gdań-

ska. Jednym z gości był profesor Politechniki Warszawskiej. Po naradzie został on zaproszony na obiad do Profesora, ja miałem być pilotem i opiekunem warszawskiego gościa. No i siedzieliśmy przy stole. Warszawski profesor opowiadał stołeczne anegdoty, bawił towarzystwo dykteryjkami stosunków, aż przeszedł do analizy życia międzyludzkiego. I tu opowiadał kto z kim, jak i dlaczego. Padały nazwiska aktorek, śpiewaczek i ... wydłużyły się twarze Pań. Tak plotkować i tak dosadnie opowiadać nigdy się przecież przy stole u Profesora nie zdarzało. Następnego dnia spotkaliśmy się u Profesora i pierwsze co usłyszałem, to ..."no wie Pan, panie Zdzisławie, to..."

I jeszcze wspomnienie o Jego wykładach. Zawsze istniały tak w wykładach Profesora, jak i w konsultacjach dwa równoległe kierunki: techniczno-plastyczny i humanistyczno-społeczny. Przykład budowy statku i życia społeczności marynarskiej był elementem analizy dobrego wykonawstwa i wspaniałej formy, ale też ludzkich przeżyć i odczuć. Te zestawienia miały w nas, architektach, wytworzyć wartości co i jak, ale i dla kogo i po co tworzymy. Te zestawienia to konieczność specyficznego widzenia - "zaoczenia" - jak to określał Profesor, przedstawiając działanie form i odczuć plastycznych w zmiennych układach - statek, morze, nabrzeże. Statek z morza dopływał do portu - tu rolę grała sylwetka, układ zestawienia form; następował problem zaoczenia. Statek wpływał do basenu, a tu stawał przy nabrzeżu i swoją formą współgrał z magazynami i budynkami nabrzeża. Tu już następuje zestawienie form i ich ciężarów plastycznych. Na statku pracują ludzie oderwani od lądu, skazani na monotonię dnia codziennego. Dla nich należy przewidzieć możliwie lekką plastyczną oprawę technicznych uwarunkowań. Taka kwintesencja o *architekturze portów i przymorza* była dewizą katedry. Korekta Profesora to było zawsze nawiązanie do klimatu, w którym się tworzy; to była gra dla środowiska i w środowisku morskim. Mój kolega, inż. Jan Kroman, wspomina taką korektę, w czasie której Profesor stwierdził: "Panie, to nie Marszałkowska - to musi śmierdzieć rybą".

I jeszcze jedna dewiza człowieczeństwa i tolerancji. Tę należało odnieść do studenta. Korekty nie mogły być powierzchowne czy narzucające koncepcję. Należało w opracowaniu znaleźć cokolwiek, nawet mało znaczący a dobry szczegół projektu. Szanowanie studenta to podstawa szkolenia.

Profesor te swoje myślenia i działania wcielał w życie przez wykłady, konsultacje i korekty; przekazywał studentom i otoczeniu, jak np. w prelekcji inauguracyjnej w roku szkolnym 1947, gdzie na przykładzie statku "Normandie" przeprowadził głęboką analizę formy, wyposażenia plastycznego oraz powiązania z koniecznymi wymogami konstrukcji i techniki oraz podał kierunki działalności Katedry Architektury Portów i Przymorza.

Śmierć Profesora w 1969 r. zabrała człowieka, ale pozostał nam do dzisiaj Jego głęboki humanizm jako vademecum dla nas na życie i współżycie. Serdeczność, którą tak pięknie ujął w podziękowaniu za nasze, przekazane z okazji osiemdziesięciolecia życzenia:

"Dziękuję Wam za wspaniałe chwile, tak bardzo dla mnie uroczyste. Milczenie ma większą wymowę i nie wszystko da się wypowiedzieć. Jestem głęboko wzruszony, że słyszę dźwięk Waszych serc stworzonych ze spiżu, które oby biły na każdy dzień w zaraniu wschodzącego słońca".

I w tym powiedzeniu Solenizanta widzimy całego Profesora Tomaszewskiego - człowieka i humanistę, który na zawsze pozostał w mojej pamięci.

Wspominał arch. **Zdzisław Konrad Bara**



Prof. Damazy Jerzy Tilgner - technolog żywności o wielkim światowym autorytecie. Przez 18 lat pracy w Politechnice Gdańskiej stworzył prężny ośrodek kształcenia chemików -technologów żywności i szkołę naukową w dziedzinie technologii wędzarnictwa oraz sensorycznej analizy żywności. W 1992 r. otrzymał tytuł doktora honoris causa naszej Uczelni. W listopadzie 1994 r. Profesor ukończył 90 lat.

O swoim Ojcu prof. Damazym J. Tilgnerze mówi córka Małgorzata

Wzrastałam w rodzinie, w której osobą dominującą był Ojciec. Niesłychanie aktywny, pracowity i obowiązkowy. Całkowicie oddany nauce. Bardzo wymagający w stosunku do siebie, współpracowników i własnych dzieci. Twardy i wolny, bo nie skrępowany religią ani polityką. Zawsze mi imponowała Jego niezależność w sposobie bycia, myślenia i działania. Bardzo prędko wycofał się z polityki, gdy zorientował się, że nowy system jest destruktywny i brutalizuje człowieka. Z tym większą pasją i oddaniem, bez reszty poświęcił się pracy naukowej w myśl ulubionej maksymy: " Tylem wart, ilem stworzył". Zupełnie zaś nie uznawał i nie akceptował religii oraz instytucji Kościoła. Pamiętam całą rodzinę, ubraną w stroje treningowe, idącą w przeciwnym kierunku aniżeli zwarty, niedzielny tłumek zdążający do bydgoskiej katedry. I nie było mowy o jakiejkolwiek dyskusji z Ojcem - szliśmy uprawiać sport! Do dziś dnia zresztą zagadnienia religii i wiary są nieobecne w naszych rozmowach, nad czym głęboko ubolewam, ponieważ sama jestem osobą głęboko wierzącą. Coś, o czym nigdy nie udało mi się dowiedzieć, musiało wydarzyć się w życiu Ojca i spowodować tak głęboki uraz... pomimo zawartego przez rodziców ślubu kościelnego. Przyznaję, że jako dziecko bardzo się Go bałam, a to dlatego, że był taki wielki i zupełnie inny, że miał odwagę być tak niesłychanie innym! Pewnych tematów w naszym domu nie poruszało się wcale. Owym tabu była polityka, jak sądzę ze względu na nasze bezpieczeństwo.

Tymczasem ja miałam bardzo idealistyczne podejście do systemu, ponieważ oglądałam te wspaniałe filmy radzieckie na temat kooperatywy, bohaterstwa itd. Zapisałam się nawet do ZMP! Z drugiej strony zaś, byłam osobą głęboko wierzącą, oddającą się najróżniejszym praktykom i przeżyciom religijnym. Dorastałam poddana wpływom dwóch zupełnie różnych osobowości: uduchowionej matki i surowego ojca. Pozwoliło mi to na zrozumienie i zaakceptowanie kontrastów w życiu, składających się przecież na jego pełnię.



W naszych wielokrotnych, wspólnych rozmowach Ojciec zawsze podkreślał, że człowiek jest naturą niesłychanie twórczą, a jego życie musi mieć cel, którego zrealizowanie da coś światu w którym żyje. A więc, najpierw daj coś z siebie, a dopiero potem bierz!

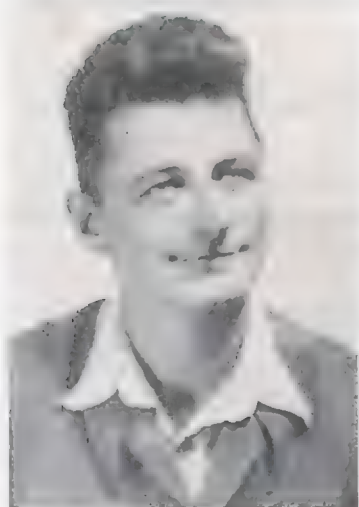
Dla niego tylko ten był coś wart, kto czegoś dokonał, coś stworzył. Do dziś dnia zresztą zawsze sprawdza, biorąc książkę do ręki, kim jest autor, jakie ma tytuły naukowe i osiągnięcia.

Nauka była i jest dla Niego najwyższą wartością, wręcz przedmiotem kultu. I jeszcze jedna ważna cecha Jego charakteru. Nie chciał i nie umiał korzystać z tzw. koneksji i układów. Nigdy! Angielskie "old boy network" dla Niego nie istniało. Nikomu w ten sposób nie pomógł, nawet rodzinie. Obydwie z siostrą zawsze byłyśmy zdane na siebie, swoje siły i umiejętności. O wszystko musiałyśmy walczyć same. W trudnych chwilach, by przetrwać na Zachodzie, wspierałam się modlitwą, co było zupełnie nie do zaakceptowania przez Ojca. Całkowicie oddany nauce, nie miał nigdy czasu na bliskość z ludźmi. Co więcej, tzw. codzienność niezmiernie Go raziła. Nie znosił naszych dziecięcych chorób, a własne zdrowie ignorował, bo czuł się mocny i silny. W tym przekonaniu umacniało Ojca długoletnie, z niemałymi sukcesami uprawiane - wioślarstwo. Podczas wspólnych, naturalnie "żeglarskich" wakacji, wszczepił mi umiłowanie przyrody, z jednoczesną troską o jej czystość i przetrwanie. Już trzydzieści lat temu przewidywał zatrucie naturalnego środowiska człowieka. Tylko kto Go wówczas słuchał?

Z drugiej zaś strony człowiek tak niesłychanie twórczy, z ogromną wyobraźnią był i jest zupełnie obojętny wobec nowych kierunków w malarstwie czy muzyce. Miłośnik malarstwa ilustracyjnego i muzyki klasycznej nawet nie stara się zrozumieć współczesnej sztuki. Pozostał tradycjonalistą, dla którego sztuka uprawiana przez Jego córkę jest również obca.

Czy nazwisko Tilgner było dla mnie również ciężarem? W pewnym sensie tak. Dzieci ludzi wybitnych muszą włożyć w swoje życie, realizację siebie, bardzo dużo wysiłku, pracy, samozaparcia i zdecydowania. A wszystko po to, by móc zaistnieć samodzielnie. Z drugiej zaś strony, miałam i mam świadomość, że moim Ojcem jest człowiek o ogromnym harcie ducha, niesłychanie silny i odważny, tą odwagą, która w chwilach dla Niego trudnych kazała Mu głowę trzymać prosto i dalej robić swoje.

wysłuchała **Danuta Siemińska**



STRZĘPY WSPOMNIEŃ STUDENTA WYDZIAŁU MECHANICZNEGO PG

Gdańsk roku 1945 to miasto, którego śródmieście zostało śmiertelnie zniszczone przez mordercze działania wojenne i świadome poczynania zwycięzców; to miasto którego mieszkańcy zostali rozproszeni przez dwa antagonistyczne totalitaryzmy.

Gdy tylko ucichła wojenna kanonada, życie z wolna zaczęło wracać na obrzeża powalonego Starego Gdańska, na rozległe, mało zniszczone przedmieścia. Jeszcze gruzy śródmieścia dymiły, a już z głębi kraju dotarła inicjatywna grupa, ażeby zorientować się w sytuacji byłej uczelni technicznej Wolnego Miasta Gdańska. Gmach Główny Politechniki był przepełniony rannymi, a wąski parterowy budynek po jego zachodniej stronie pełnił funkcję kostnicy.

Pod koniec długotrwałej ewakuacji wojskowego szpitala w Gmachu Głównym wybuchł pożar, który uszkodził sąsiedni budynek Chemii. Ze zbiorów bibliotecznych pozostały tylko resztki. Pracownie naukowe i dydaktyczne zostały ogołocone z wyposażenia; pokonani wycofując się wywozili je na zachód, a zwycięzcy dewastowali pozostałości. Do wyjątków należały Laboratoria Maszynowe i Wytrzymałości Materiałów.

Okaleczone i opustoszałe mury dawnej uczelni technicznej były stopniowo przejmowane i zabezpieczane przez Polaków, którzy zostali zmuszeni do ekspatriacji w wyniku przesunięcia granic; byli to przybysze zwłaszcza z Politechniki Lwowskiej oraz pewna liczba osób z Państwowej Szkoły Technicznej w Wilnie. Do Gdańska przybywali również pracownicy zdewastowanej Politechniki Warszawskiej, którzy w gruzach stolicy stracili wszystko.
Wśród grona osób rozpoczynających działalność Wydziału Mechanicznego było wyjątkowo dużo profesorów. Profesorowie ci kształcili się na przełomie XIX i XX wieku, gdy naród polski nie posiadał swej państwowości. Zdobywali wiedzę i umiejętności inżynierskie częstokroć poza granicami ziem polskich, a szczyt ich działalności zawodowej przypadał na lata międzywojenne. Jako ludzie doświadczeni, lecz sterani przeżyciami II wojny światowej, podjęli trud powołania do życia Wydziału Mechanicznego polskiej uczelni technicznej Gdańska.

A oto niektórzy spośród pionierów Wydziału Mechanicznego PG.

Prof. Wiktor Wiśniewski, po kilku latach pracy w Politechnice Lwowskiej oraz w przemyśle, zmobilizowany we wrześniu 1939 r., bronił Warszawy, a następnie przez ponad 5 lat pobytu w obozie jenieckim prowadził intensywną działalność oświatową, pedagogiczną i naukową; tam powstała jego słynna praca, której nadano żartobliwy tytuł "Gorące lody".

Prof. Karol Taylor wieloletni profesor Politechniki Warszawskiej.

Prof. Maksymilian Tytus Huber, osoba otoczona szczególnym szacunkiem; pomimo podeszłego wieku przyjął zaproszenie I rektora Stanisława Łukasiewicza, zawiezione osobiście przez prof. Turskiego do Zakopanego, co w owych czasach było wręcz wyczynem.

Prof. Jarosław Naleszkiewicz, prof. Michał Broszko z Politechniki Warszawskiej, prof. Adolf Polak, konstruktor silników spalinowych z Politechniki Lwowskiej. Technolodzy: prof. Edward Tadeusz Geisler i prof. Marian Sienkowski. Prof. Władysław Florjański o wszechstronnych zainteresowaniach. Nie sposób pominąć tu prof. Arkadiusza Piekary, fizyka, posiadającego przygotowanie pedagogiczne z elitarnego

liceum w Rydzynie, który dołączył później, lecz wywarł szczególny wpływ na adeptów sztuki inżynierskiej. Wraz z niektórymi profesorami przybyli do Gdańska ich współpracownicy naukowi, techniczni i administracyjni oraz studenci.

Na pewno należało wymienić więcej osób. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do opracowań dotyczących historii Wydziału Mechanicznego PG.

Żaden inny Wydział Mechaniczny w kraju nie zgromadził w owych czasach tak wielkiej liczby autorytetów naukowych, znawców przemysłu i doświadczonych pedagogów. Po sześciu latach wojny odnajdywali się dawni współpracownicy, spotykali się ci, którzy jedynie o sobie słyszeli... W warunkach pionierskich, bo w sąsiedztwie zniszczeń wojennych i przy ogromnych niedoborach bytowych, rozpoczynali pracę, w której uczestniczyła stosunkowo nieliczna grupa bezpośrednich współpracowników naukowych, bowiem to następne pokolenie najdrastyczniej ucierpiało podczas wojny. Luki w tym zakresie wypełniali przede wszystkim uczniowie profesorów. Ci nieliczni niebawem awansowali i z tej racji dawny mistrz i uczeń razem zasiadali w tej samej radzie wydziału.

Za pośrednictwem najstarszych profesorów tradycje inżynierskie, wypracowane u schyłku XIX wieku, stanowiły glebę, na której rozkwitały młode talenty ówczesnych inżynierów Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej. Różne mieli przeżycia, lecz jednakowy zapał do organizowania zajęć dydaktycznych dla kilku roczników, którym wojna uniemożliwiła normalną drogę rozwoju intelektualnego.

Dziwni to byli studenci. Na wykładach spotykali się niedawni partyzanci z lasów kieleckich, uczestnicy niewolniczej pracy pod bombami aliantów w przemyśle niemieckim, żołnierze AK z Kresów Wschodnich, uczestnicy Powstania Warszawskiego, żołnierze Berlinga, nieliczni szczęściarze, którym udało się ujść z życiem z morderczej pracy w Donbasie, Polak z Gdańska wcielony do Wehrmachtu, który uciekł przez linię frontu do Amerykanów... i wielu innych o losach mniej spektakularnych, lecz o przeżyciach, które pozbawiły ich normalnej młodości. Majaki przeżyć, rozkołysana wyobraźnia, nocne zwidy wspomnień i zróżnicowane postawy życiowe prowadziły do drastycznych spięć na przerwach i dopiero grupa interwencyjna kolegów rozdzielała murem zwaśnione strony. W takich sytuacjach niejeden z podekscytowanych kolegów zdradzał wyrobiony odruch sięgania po broń, ale na szczęście jej nie było.

Pochodziliśmy z różnych regionów Polski: Warszawa, Poznań, Śląsk, Wilno, Lwów, centralne dzielnice Polski, Pomorze... Naszą polszczyznę przenikały charakterystyczne cechy dzielnicowe i naleciałości z czasów wojny; inna składnia, odmienna melodia języka; wywoływało to zdumienie, żarty, a czasem pretensje. Kilka lat później, już po dyplomie współpracowałem na Politechnice z kolegą, który wojnę przetrwał pracując w niemieckich magazynach wyrobów przemysłowych. Mówił i pisał po polsku, ale myślał po niemiecku. Na podstawie niemieckiej literatury technicznej opracował wysoce atrakcyjny temat, ale... dziwny to był tekst. Skończyło się na tym, że tłumaczyłem to opracowanie z polskiego na polski. Napracowałem się, ale i nauczyłem się wiele.

Niektórzy koledzy odzwyczajeni od intensywnej pracy umysłowej, nie mogli podołać wymaganiom. Część z nich pod koniec pierwszego roku przeniosła się do Szczecina, gdzie ze względu na niedobory zarówno kadry nauczającej jak i słuchaczy studiowanie było łatwiejsze.

W domach akademickich trwały niekończące się "nocne rodaków rozmowy" o przeżyciach wojennych i zaskakujących problemach współczesności. Była to dramatyczna choroba pokolenia, które zmagało się z własną przedwczesną dojrzałością; pokolenia, które wojna obarczyła zadaniami na ogół przekraczającymi jego odporność psychiczną. Ogrom zajęć na Uczelni i pracy w domu skutecznie tłumił niepohamowane emocje, wynikające z niemożności zrozumienia tego, co się działo podczas wojny i po jej zakończeniu. Ze względu na wysoką temperaturę zmagań z własnymi trudnościami, nic dobrego z tych dyskusji nie wynikało. Znakomitą odtrutką był obowiązek społecznej pracy na Uczelni (porządkowanie) i na rzecz miasta (odgruzowywanie) oraz społeczna działalność w ramach Koła Mechaników i Bratniej Pomocy.

Już 25 sierpnia 1945 roku ukonstytuował się Zarząd "Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Gdańskiej". Prezesem został kol. Stanisław Szymański z Wydziału Budowy Okrętów, członek przedwojennego zarządu Bratniaka.

Samorząd studencki miał pełne ręce roboty i żadnego doświadczenia. Braki wszystkiego sprawiały, że praca Zarządu wymagała ciągłego ratowania sytuacji życiowej braci studenckiej, bo nikt nie grzeszył grosiwem, a dotacje nie starczały na wyżywienie, oświetlenie i ogrzewanie. Młodzież niedożywiona przez lata

wojny studiowała w warunkach ubóstwa i bez widoków na rychłą poprawę swego losu. Należy z wdzięcznością wspomnieć Misję Kwakrów, której przedstawiciel, zdając sobie sprawę z pokusy zawłaszczania dóbr materialnych, pilnował, by drogocenne okruchy trafiały bezpośrednio w ręce studentów. Jako referent zdrowia Bratniej Pomocy brałem udział w dzieleniu i rozdawaniu takich skarbów, jak: mleko w proszku, kakao, czekolada oraz zawartości paczek UNRRA tzn. powojenne nadwyżki magazynowe wyposażenia amerykańskich żołnierzy frontowych. Rozdałem dwie beczki proszku DDT na insekty oraz kilkadziesiąt skromnych wyprawek niemowlęcych, bo było szereg małżeństw studenckich. Strumień darów z UNRRA czasami przekraczał możliwości organizacyjne "Bratniaka" i wtedy studenckie koła naukowe wspomagały akcję ich rozdzielania.

Koło Mechaników z entuzjazmem przystąpiło do przejmowania niektórych agend, jak np.: współdziałanie z Komisją Wydawniczą Bratniaka na rzecz współprzyczyniania się do wydawania skryptów dla mechaników, uruchomienie banku informacji o miejscach letnich praktyk i rozdzielanie skierowań na praktyki, uruchamianie kursów na samochodowe prawo jazdy ("Każdy mechanik kierowcą samochodu"), organizowanie zwiedzania ośrodków przemysłowych.

Tak ofiarnie rozpoczęta samorządowa działalność studencka była z premedytacją ograniczana, utrudniana, szykanowana. Działacze w czerwonych krawatach, ekscytowani od góry, rozpoczęli destrukcyjne działania. Organizacje studenckie miały być sterowane centralnie. Wprawdzie nieliczni, ale dostatecznie bezwzględni "aktywiści" skutecznie obezwładniali samorządy studenckie. Na początku 1948 r. Zarząd Bratniaka spotkał się z wrogą presją psychiczną i arogancją. Niektórzy członkowie Zarządu zrezygnowali z pracy bo szykany uniemożliwiły im działalność. Jako tzw. "minister zdrowia", koordynujący działalność właściwie charytatywną nie przewidywałem przeszkód, aż nagle przez zaskoczenie zostałem przy użyciu fizycznej przemocy wyrzucony z pomieszczenia Zarządu. Nazwa Bratnia Pomoc w niedługim czasie stała się hasłem bez pokrycia, aż wreszcie znikła z życia akademickiego. Zarząd Koła Mechaników został publicznie zelżony i Koło Mechaników zlikwidowane; samorząd studentów Wydziału Mechanicznego przestał istnieć.

Z ogromnym nakładem trudu społecznego uruchomiony został pierwszy chór akademicki na Wybrzeżu Gdańskim. Zapoczątkowała go grupa medyków, ale w bardzo krótkim czasie na próbach gromadziło się już ok. 40-50 osób nie tylko z Akademii Medycznej, ale również z Politechniki Gdańskiej, Szkoły Laborantek Medycznych, Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz kilka osób ze szkół muzycznych. Duszą i sercem Międzyuczelnianego Chóru Akademickiego był dyrygent prof. Tadeusz Tylewski - Gdańszczanin głębokiego serca, który przez wiele lat na terenie Wolnego Miasta Gdańska pielęgnował chóry polonijne.

Chór ten stosunkowo długo stanowił enklawę samorządności. Władze łaskawie go tolerowały, bo uświetniał różne uroczystości zarówno repertuarem monumentalnym jak i twórczością klasyczną, ludową... Kurczowo trzymaliśmy się tradycyjnego stroju biało-czarnego, a zakusy zafundowania nam czerwonych krawatów były pomijane milczeniem.

W chórze była liczna grupa mechaników (technologów) z Politechniki Gdańskiej. Zespół z pierwszych lat swego istnienia był ogromnie zżyty; z tej grupy, z czasem, wyłoniło się kilka udanych małżeństw, które obecnie mają już dorastające wnuki.

W okresie Bożego Narodzenia grupa (nie Chór) występowała w kościołach śpiewając kolędy. Każdy z księży poczuwał się do obowiązku publicznego podziękowania chórowi akademickiemu, no i władze studenckie zaczęły zgrzytać zębami. Bezpośrednio przed pierwszym wyjazdem za granicę (Festiwal Młodzieży w Pradze) kilkanaście osób nie znalazło się na liście, a zarząd Chóru został komisarycznie uzupełniony o działaczy. Tam w Pradze zaprzyjaźnił się z chórem Stanisław Sołdek - przemiły skromny i kulturalny traser, którego władze (wbrew jego protestom) zaczęły windować na piedestał budowniczego socjalizmu.

Chór miał doskonałą prasę i zaczął zbierać nagrody, więc chętnych nie brakowało. Wkrótce Politechnika zorganizowała własny chór, więc Międzyuczelniany zmienił nazwę, został przy Akademii Medycznej. Pragnę podkreślić, że była to pierwsza i chyba jedyna prawdziwie samorządna międzyuczelniana organizacja akademicka w Gdańsku.

Wacław Dziewulski

Jak uratowałem budynek Wydziału Chemii

Jak to często bywa, przypadek sprawił, iż można powiedzieć, że uratowałem budynek Wydziału Chemicznego przed znacznym zniszczeniem. Tak przynajmniej twierdzili wówczas fachowcy. Było to w połowie października niezapomnianego 1945 roku, gdy z kilkoma kolegami - już studentami pierwszego roku Wydziału Budowy Okrętów - staliśmy w holu budynku Audytorium Maksimum - wymieniając poglądy na różne ważne dla nas w owym czasie sprawy. Równie dobrze mogliśmy opowiadać o swoich wojennych przygodach. Zresztą, to o czym mówiliśmy nie jest w tym przypadku rzeczą istotną. Ważne jest natomiast, że na terenie Politechniki pracowały w dalszym ciągu różne grupy i grupki studentów, porządkując m. in. sale wykładowe i przenosząc meble oraz różnorakie wyposażenie we wskazane miejsca.

Gdy tak rozmawialiśmy, kilku studentów na tyłach budynku Chemii z niemałym trudem wytaszczało z piwnicy jakieś duże skrzynie. Całą tą "operacją" kierował starszy Pan w nadgryzionej zębem czasu kufajce. Widok pracującej grupy nie był więc czymś, czym warto byłoby zaprzątać sobie głowę. Stałem zatem i przysłuchiwałem się temu co mówią koledzy, gapiąc się na przyszłych chemików, jak dzielnie pracują. W pewnej chwili zauważyłem kątem oka, że ktoś z tej grupy próbuje kawałkiem jakiegoś żelastwa otworzyć jedną ze skrzyń. Wyraźnie nie dawał rady. Wówczas ów starszy Pan coś tam powiedział i szybko znalazła się potężna siekiera. W "normalny" sposób nawet siekiera nie dała rady, by podważyć wieko skrzyni. Znaleziono więc wyjście - jakby to określili górale - "na duś". Na narożnik skrzyni padło w pewnym momencie potężne uderzenie. I właśnie w tym momencie przestałem słuchać koleżeńskich opowieści, wybiegłem z budynku, jednym skokiem dopadłem męczących się otwarciem skrzyni, gromkim głosem wołając:

- padnij i to już!

Część wykonała moje polecenie zgodnie z wymogami żołnierskiej wiedzy, czyli leżała plackiem, a część wraz z owym kierującym pracą, stanęła jak zamurowana. Zaś ja młody i zapalczywy, "wsiadłem" na starszego Pana, i zacząłem go zwyczajnie "rugać" i to ostro:

- czy Pan oszalał? czy Pan nie widzi, co to za skrzynie? itd, itp.

Ruganie trwało dobrą chwilę. Kiedy złapałem "oddech" i spojrzałem na twarze lekko przerażonych "chemików-pracusiów", wyczułem, że coś tu "nie gra" - jakbyśmy to dziś powiedzieli. Ktoś mi szepnął:

- panie kolego (tak zwracaliśmy się wówczas do siebie), to dziekan naszego wydziału.

Pomyślałem, że z tym "ruganiem" nie najlepiej wyszło i zacząłem najsolenniej przepraszać jednocześnie tłumacząc, że:

- są to wojskowe skrzynie amunicyjne, normalnie zamykane na takie klipsy jak kiedyś butelki z oranżadą,

- to podejrzane, że wieka skrzyń zabite są gwoździami, mimo że klipsy wiszą sobie najspokojniej,

- dobrze będzie jeśli w środku są np. tylko nie zaostrzone granaty.

Jednym słowem tłumaczyłem, tłumaczyłem, tłumaczyłem.

Summa summarum - pan dziekan, czyli profesor Wawryk, on to bowiem "dowodził" tą "skrzyniową" grupą - przyznał mi rację mówiąc, że moja gwałtowna interwencja była zatem w pełni uzasadniona.

Prace przerwano, postawiono kogoś do pilnowania owych nieszczęsnych skrzyń, a na drugi dzień - wojsko - z największą ostrożnością wszystko wywiozło. Po delikatnym otwarciu okazało się, że były w nich artyleryjskie zapalniki, które oczywiście fachowo zdetonowano.

W kilka dni później, przypadkowo spotkany prof. Wawryk, raz jeszcze dziękując za moją interwencję powiedział, że zdaniem oficera kierującego grupą rozminowania, wybuch który mógłby w każdej chwili nastąpić przy próbie "siłowego" otwierania skrzyń uszkodziłby poważnie budynek, już nie mówiąc o tym, że byliby w różnym stopniu poszkodowani także ludzie.

No cóż, to po prostu przypadek, że o wojsku, jego wyposażeniu, materiałach wybuchowych i takich skrzyniach amunicyjnych, wiedziałem więcej niż pierwszy dziekan wydziału.

O sprawie początkowo było bardzo głośno, ale szybko inne wydarzenia zepchnęły ją najpierw na dalszy, a potem bardzo daleki plan. Tylko ja pozostałem ze słusznym chyba przeświadczeniem, że rzeczywiście uratowałem "kawałek" budynku Wydziału Chemii.

Olgierd Pawłowski

Pisząc o Korporacjach

Publikowane do tej pory opracowania dotyczące działalności organizacji studenckich, a w szczególności korporacji akademickich na Politechnice Wolnego Miasta Gdańska w niewielkim zaledwie stopniu oparte są na wystarczająco reprezentatywnych materiałach źródłowych.

Czytelnicy, zainteresowani tym okresem istnienia Uczelni w Wolnym Mieście Gdańsku znają zapewne książkę S. Mikosa "Polacy na Politechnice w Gdańsku w latach 1904-1939" i podaną w niej literaturę tematu. Autor na stronnicach 5-13 pisze o trudnościach w dostępie do dokumentów źródłowych i konieczności oparcia się w znacznej mierze na wspomnieniach, które "... spisywane po kilkudziesięciu latach, mają wiele mankamentów, a głównie ten, że subiektywizm autorów zostaje jakby w nie wpleciony. Zacierają się w pamięci fakty, a obrazy z życia młodości wydają się zbyt kolorowe".

Do nie uwzględnianych w dotychczasowych (oprócz 3) publikacjach dotyczących działalności - nie tylko polskich - korporacji należą podstawowe przy omawianiu tematu pozycje: (1), (2), (3), (4), (5).

Bardzo dużo informacji o organizacjach w Wolnym Mieście Gdańsku zawartych jest w Księgach Pamiątkowych korporacji akademickich w Polsce. Należy tu wymienić pozycje: (6), (7), (8), (9), (10), (11), (12), (13). Korporacje te ściśle współpracowały z korporacjami polskimi w Wolnym Mieście Gdańsku.

Wręcz niemożliwą jest rzetelna informacja o najstarszej z gdańskich korporacji polskich "ZWIĄZEK AKADEMIKÓW GDAŃSKICH WISŁA" tj. K! ZAG WISŁA bez znajomości choćby niżej przytoczonych dokumentów KONWENTU CZYNNEGO (studenci w Gdańsku) : (14.1 - 14.14) oraz ZWIĄZKU FILISTRÓW K! ZAG WISŁA z jego kołami w Warszawie i Gdańsku: (15.1-15.5).

O sile i znaczeniu tej korporacji niech świadczy, że np. w 1930 roku do K! ZAG WISŁA należało 234 osoby. Związek Filistrów (absolwenci) liczył wówczas 174 osoby (Koło W-skie 153 a w Gdańsku 21 osób). Konwent czynny (studenci w Gdańsku) liczył 60 osób z tego 44 "rycerzy" (pełnoprawni członkowie) oraz 16 "giermków" (kandydaci o różnym stopniu możliwości uczestnictwa w życiu codziennym konwentu).



Poczty sztandarowe K! ZAG Wisła
czerwiec 1938 r.

Zainteresować też może czytelników informacja, że kilkuset żyjących członków polskich korporacji akademickich utrzymuje do dnia dzisiejszego kontakty ze swymi korporacjami. Działają też dwa Stowarzyszenia Filistrów: Polskich Korporacji Akademickich w Warszawie i Poznańskich Korporacji Akademickich w Poznaniu. W ostatnim zaś czasie na temat korporacji ukazało się kilka pozycji opartych na materiałach źródłowych (16.1-16.6).

Literatura:

1. "ROCZNIK KORPORACYJNY 1882-1928"; wyd. Prezydium Związku Polskich Korporacji Akademickich; Warszawa 1928; cz. I - str. 212 i cz. II - str. 82.

2. "ZWIĄZEK POLSKICH KORPORACJI AKADEMICKICH W LATACH 1928-1939"; Autor: Filister meritus PK!A Zbysław Popławski; wyd. II; Kraków 1990; str. 179; (zbiór dokumentów PK!A); maszynopis.

3. "SZKIC HISTORYCZNY POLSKIEJ KORPORACJI AKADEMICKIEJ" Z.A.G. WISŁA w Gdańsku - od sem. zimowego 1904 do sem. letn. 1921"; Opracował inż. B. Bukowski - Filister K! "Z.A.G. WISŁA"; Warszawa 1927.

4. "WEINHEIMER S.C. CHRONIK"; bearbeit von Hans Schüler; Werlag der W.S.C. - Nachrichen Darmstad; Uwaga: Der Danzinger S.C. = Gdański Konwent Seniorów należał do W.S.C. = Weinheimskiego Konwentu Seniorów, tj. organizacji grupującej niemiecką młodzież akademicką studiującą na uczelniach technicznych (str. 565 - 591).

5. "DAS AKADEMISCHE DEUTSCHLAND"; praca zbiorowa; C. A. Weller Verlag; Berlin 1931. Uwaga: 4 tomy tekstu i 1 tom skorowidzów; Tom 2: "Die Deutsche Hochschulen und ihre akademischen Bürger" na str. 717-723 podaje podstawowe dane o 34 organizacjach akademików niemieckich w Wolnym Mieście Gdańsku.

6. Księga Pamiątkowa: "K! MAGNA POLONIA 1920 - 13.III.1930"; nakładem własnym Korporacji Akademickiej K! MAGNA POLONIA w Poznaniu; Poznań 1930; str. 328; uwaga: cytowane pismo K! "Z.A.G. WISŁA" z dn. 21.XI.22 podpisane przez A. Doboszyńskiego i H. Thomasa w sprawie udzielenia pomocy w sprawach organizacyjnych (o przesłanie regulaminów).

7. "Księga Pamiątkowa: Akademickiego Koła Pomorskiego przy Uniwersytecie Poznańskim - 10 lat istnienia"; Poznań 1929; str. 119.

8. Księga Pamiątkowa: "K! GEDANIA POSNANIENSIS 6 grudnia 1926 - 1936"; Poznań 1936; str. 40.

9. Księga Pamiątkowa: "K! JAGIELLONIA MCMX-MCMXXXV WIEDEŃ - WARSZAWA"; nakład 200 egz.; Warszawa 1935; str. 47.

10. Księga Pamiątkowa: "K! ARKONIA 1879 - 9.V.1929"; Nakładem Związku Filistrów "Arkonii"; Warszawa 1929; str. 117.



I Zjazd Naczelnej Z.P.K.A w Gdańsku
(czerwiec 1927 r.)
pośrodku stoi p. min. H. Strasburger - Komisarz Generalny R.P.
Filister honorowy K! "Z.A.G. WISŁA"

11. Księga Pamiątkowa: "STULECIE K! ARKONIA 1879-1979 RYGA-WARSZAWA-LONDYN"; wyd. Koło Filistrów K! ARKONIA w Londynie.

12. Księga Pamiątkowa: "HISTORIA K! BALTIA 1921-1939"; maszynopis; str.142. Kartel z K! "Z.A.G. WISŁA"; dużo danych o tej K! gdańskiej.

13. Księga Pamiątkowa: "POLSKA KORPORACJA AKADEMICKA WELECJA 1883-1988"; Warszawa 1989; str. 123.

14. DOKUMENTY KONWENTU CZYNNEGO (studenci K! "Z.A.G. WISŁA" w Gdańsku.

14.1 Deklaracja ideowa K! "Z.A.G. WISŁA"

14.2 Statut K! "Z.A.G. WISŁA"

14.3 Regulamin Ogólny K! "Z.A.G. WISŁA"

14.4 Regulamin urządzeń i obrządków K! "Z.A.G. WISŁA"

14.5 Regulamin noszenia barw K! "Z.A.G. WISŁA"

14.6 Regulamin giermków K! "Z.A.G. WISŁA"

14.7 Sprawozdanie z działalności K! w sem. letnim 1925

14.8 Sprawozdanie z działalności K! w sem. zimowym 1925/1926

14.9 Sprawozdanie z działalności K! w sem. letnim 1927

14.10 Sprawozdanie z działalności K! w sem. zimowym 1927/1928

14.11 Sprawozdanie z działalności K! w sem. letnim 1930

14.12 Sprawozdanie z działalności K! w sem. zimowym 1930/1931

14.13 Sprawozdanie z działalności K! w sem. letnim 1937

14.14 Sprawozdanie z działalności K! w sem. zimowym 1937/1938

15. DOKUMENTY ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA"

15.1 1 STATUT ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA'; Warszawa 1928.

15.2 REGULAMIN ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA"; Warszawa 1928.

15.3 LISTA CZŁONKÓW ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA"; Warszawa 1928; (Koło Warszawskie: 157 + Koło Gdańskie: 24 osoby).

15.4 LISTA CZŁONKÓW ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA" Warszawa 1930 (Koło Warszawskie: 153 + Koło Gdańskie 21 osób)

15.5 LISTA CZŁONKÓW ZWIĄZKU FILISTRÓW GDAŃSKIEJ KORPORACJI Z.A.G. "WISŁA" Warszawa 1935 (Koło Warszawskie: 129 + Koło Gdańskie 28 osób).

16. Opracowania pozostałe:

16.1 "KSIĘGA ADRESOWA - STAN OSOBOWY POLSKICH KORPORACJI AKADEMICKICH w r. ak. 1991/1992"; Zebrał i wydał Leon Ter-Oganjan Filister PK! VARSOVIA; Warszawa 1992; str. 35 (Zawiera dane o 537 żyjących korporantach do K!K! zrzeszonych w Zw. Pol. Korp. Akad.).

16.2 "POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE - Almanach i Skład osobowy na rok. 1992/1993; Warszawa 1993; Autor Leon Ter-Oganjan (Zawiera podstawowe dane o 107 polskich korporacjach i dane osobowe 633 żyjących osób).

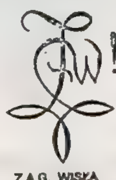
16.3 "POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE - Zeszyt 4 - Album Insygniów i Hymnów Korporacyjnych"; Warszawa 1994; Autor Leon Ter-Oganjan (Zawiera ustalone insygnia tj. herby, dekle i cyrkle 74 K!K!).

16.4 Artykuł: "POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE"; St. Śniechórski; Przegląd Akademicki; Nr 20(21) - 1(22); 16.01.1993; Dwutygodnik; Lublin.

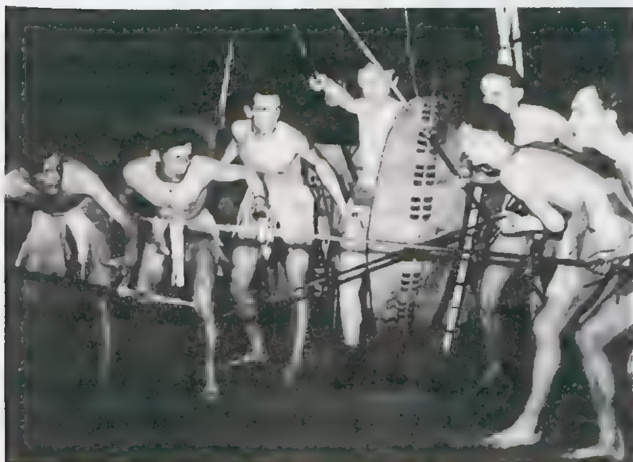
16.5 Artykuł: "POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE NA POLITECHNICE WOLNEGO MIASTA GDAŃSKA"; Wojciech Heppner; "Kalendarz Gdański 1993/1994"; wyd. Tow. Przyjaciół Gdańska.

16.6 "POLSKIE KORPORACJE AKADEMICKIE", zeszyt 8, Warszawa 1995 (zawiera II wydanie "Rocznika Korporacyjnego 1828-1928")

Wojciech Heppner
Filister honorowy Korporacji Akademickiej K! Magna Polonia



PO CZTERDZIESTU LATACH



"AHAAA..."

W maju br. minęła czterdziesta rocznica premiery pierwszego przedstawienia głośnego w Polsce studenckiego teatrzyku "Bim-Bom". Powstał on w oparciu o wcześniej działający Studencki Teatr Satyryków przy Politechnice Gdańskiej.

"Bim-Bom" powstał z potrzeby czasu.

Początek 1955 roku to czas "odwilży", bo tak nazywano ten okres brzemienny w oczekiwania na zmiany w polityce i w życiu ludzi, okres pierwszych sygnałów nadchodzących przemian. Dwa lata upłynęły już od śmierci Stalina, lecz strach ustępował bardzo powoli i powoli też tajały lody okresu stalinowskiego.

I oto nadchodziła "odwilż". Rozpoczynały się coraz śmielsze dyskusje o świecie i o ludziach, zadawano pytania i szukano odpowiedzi na nie. Prym wiedli studenci. Najważniejszym pismem w Polsce staje się "Po prostu" - pismo studentów i młodej inteligencji. W Warszawie powstaje Studencki Teatr Satyryków - STS; w Gdańsku - teatrzyk "Bim-Bom". Założyli go członkowie Studenckiego Teatru Satyryków przy Politechnice Gdańskiej, do których dołączyli studenci innych gdańskich uczelni i dwaj bezrobotni(*) młodzi aktorzy - Zbyszek Cybulski i Bobek Kobiela, nie mogący znaleźć sobie miejsca w zawodowym teatrze, który był dla nich za ciasny.

O co im wszystkim chodziło i co chcieli osiągnąć?

Cokolwiek by to nie było nie przewidywali chyba, jak potoczą się losy ich teatrzyku i do czego dojdą w swej teatralnej przygodzie. Zaczęło się przecież skromnie i zwyczajnie, tak jak na wielu ówczesnych amatorskich scenkach satyrycznych. Ale kiedy na premierze pierwszego programu pt. "Ahaa..." w pewnym momencie na szarej, zimnej scenie zapełnionej monstrualnymi cegłami rozległ się huk, cegły pękły, a z ich wnętrza wypadły cztery kolorowo ubrane pary i w rytmie radosnego walca zaczęły wirować na rozświetlonej migotliwym i też kolorowym światłem scenie; wtedy właśnie, w tym momencie narodził się "Bim-Bom", teatr poezji, groteski, romantyzmu i fantazji.

Było to 2 maja 1955 roku; czterdzieści lat temu.

A zaczęło się od tych cegieł, których mieliśmy już dosyć, tak jak i dosyć mieliśmy nadętych i napuszonych kogutów, które pojawiły się na naszej scenie rok później w programie "Radość Poważna", a które uosabiały sobą ponuractwo, pychę, arogancję i bezduszność. Taki był nasz udział w Październikowych dyskusjach. Czy to dużo czy mało? Jak na historyczny moment to może niewiele; ale jeśli w tym nasyconym wielką polityką dramatycznym okresie "Bim-Bom" zdobywał pierwsze nagrody na festiwalach studenckich, jeśli "Radość Poważna" uznawana była zgodnie za najwybitniejsze osiągnięcie teatru studenckiego, jeśli wysyłano nas regularnie na wielkie młodzieżowe festiwale i jeśli nasze widownie zawsze były pełne i gorące to widocznie nie było tak mało.

Żywot "Bim-Bom" nie trwał długo. Oprócz "Ahaa..." i "Radości Poważnej" wystawiliśmy jeszcze dwa programy. W 1957 roku "Toast" - najambitniejszy i najbardziej skomplikowany pod względem formalnym, który przyniósł nam największe rozczarowanie, i w 1959 po otrząśnięciu się z niepowodzenia "Toastu" - ostatni program - "Coś by trzeba": program pożegnalny, powracający w swym nastroju do początków - do "Ahaa...". W tym czasie występowaliśmy na wielkich międzynarodowych

festiwalach młodzieży i studentów: w Warszawie, Moskwie, Paryżu i Wiedniu. Na koniec w 1960 roku zaproszeni zostaliśmy na europejski międzynarodowy festiwal teatrów awangardowych, zorganizowany w Brukseli pod patronatem królowej Elżbiety. Wystąpiliśmy tam po raz ostatni i tak się zakończyła przygoda amatorskiego teatrzyku gdańskich studentów.

Ludzie z "Bim-Bom", nie ograniczając się do działalności w swoim teatrze, współtworzyli "ŻAKa", zakładali nowe sceny:"teatr Rozmów", "Cyrk Rodziny Afanasjeff Tralabomba", kabaret "To-Tu", występowali w teatrzyku rąk "Co to", redagowali studencką prasę, organizowali Juvenalia ... Równocześnie kontynuowali i kończyli studia.

"Bim-Bom" był w owym czasie ważną częścią środowiska kulturalnego nadającego nowy kształt życiu artystycznemu kraju. Współpracował z nami jako autor tekstów i wykonawca Sławomir Mrożek. Pojawili się na naszej scenie w różnych epizodzikach: Andrzej Wajda, Andrzej Munk, Romek Polański, Basia Kwiatkowska, Janusz Morgenstern, Zdzisław Maklakiewicz, Krzysztof Komeda. Pouczał nas cierpliwie Kazimierz Rudzki a za kulisy przychodził Antoni Słonimski. Zjawiali się tam politycy z Józefem Cyrankiewiczem i Adamem Rapackim, a na widowni, Jacques Fabri, Yves Montand i Marcel Marceau.

Dlaczego więc "Bim-Bom" mimo swego powodzenia istniał tylko pięć lat? Chyba dlatego, że był teatrem całkowicie amatorskim i tak bardzo związanym z tymi, którzy go tworzyli. Taki teatr jest ich własnością i przestaje istnieć kiedy oni odchodzą. Wtedy trzeba kończyć. Ważne jest wówczas, aby nie przeoczyć tego momentu kiedy działalność teatralna jeszcze daje satysfakcję, jeszcze jest sprawą najważniejszą, a już pojawia się życiowa konieczność podjęcia obowiązków wieku dorosłego. Mogliśmy kończyć swą przygodę z żalem wprawdzie, ale bez poczucia porażki, bo nie uważaliśmy się przecież za aktorów, a okres naszej zawodowej aktywności ze wszystkimi wiązanymi z nią nadziejami był dopiero przed nami. Był to więc dobry moment do podjęcia decyzji. Coś było, skończyło się i dobrze. Zaczynało się coś innego.

Czy oznaczało to dla nas całkowite zamknięcie tamtych pięciu lat? Nie, "Bim-Bom" i to co się wokół niego działo zmieniło nas i ukształtowało. Wiele mu zawdzięczamy. Nie utonęliśmy w szarzyźnie trudnych lat, coś przeżyliśmy i coś stamtąd wynieśliśmy. Dostaliśmy szansę, nabraliśmy życiowego rozpędu, zaufania do siebie i wiary w życie. Nie ulega wątpliwości, iż gdyby z naszych życiorysów wykreślić tych parę lat bylibyśmy zupełnie inni; zabrakło by nam czegoś ważnego.

Mieczysław Kochanowski

(*) W owym czasie zarówno Zbigniew Cybulski jak i Bogumił Kobiela formalnie byli etatowymi aktorami Teatru "Wybrzeże". Natomiast dość długo nie byli obsadzani w kolejnych premierach i dlatego zostali oddelegowani do teatrzyków amatorskich. (Red.)



Jubileusz - 50 przedstawienie

Anegdoty

To, że anegdoty uzupełniają najbardziej nawet precyzyjne opisy ludzkich sylwetek i ich działań - z dawna wiadomo. Sądzę, że właśnie dlatego, w piśmie przywołującym historię Uczelni i ludzi w niej pracujących - anegdota o tych ostatnich, znalazła już sobie stały kąt.

Dziś raz jeszcze o wspomnianym już kilka razy profesorze Adolfie Polaku (Kier. Katedry Elementów Maszyn i Maszyn Parowych). Otóż pewnego razu pojawił się w ówczesnej tzw. "kreślarni okrętowej" (III p. Gmachu Gł. - sala 355) - dziekan i zwrócił się z następującą inwokacją do naszego starosty (Władysław Czyż): "bardzo pana proszę o powiadomienie Katedry Elementów Maszyn, by stopnie wpisywane do indeksu były "całkowite", a nie np. "dostatecznie z dwoma minusami," lub "niedostatecznie plus." Takich stopni nie będzie się wpisywało do kartoteki wydziałowej."

"Panie dziekanie" - odpowiedział z całym szacunkiem starosta - "mnie byłoby niezręcznie powiadamiać o tym pana profesora Polaka. Może lepiej byłoby gdyby nasz dziekanat wystąpił do Katedry z odpowiednim pismem."

"Rzeczywiście, ma pan rację" - skwitował krótko dziekan - skłonił się obecnym i wyszedł.

W kilka dni po tej rozmowie odbył się kolejny egzamin z owych części maszyn. Pod drzwiami Katedry - zresztą jak zwykle - stało kilka osób, koledzy aktualnie zdających. Ot taka mała giełda - jak było, co pytał itd. itp. I oto otwierają się drzwi i z radosną, prawie triumfalną miną wychodzi pierwszy delikwent - oznajmia wszem i wobec "zdałem" i otwiera trzymany jeszcze w ręku indeks.... I nagle, rzuciwszy okiem na wpis, jęknął straszliwie. A wpis był tej treści : "NIEDOSTATECZNIE - EGZAMIN ZALICZAM" i zamaszysty, znany nam podpis: A. Polak.

Po kilku głębszych oddechach kolega delikatnie puka do drzwi i wchodzi. A dalej relacja tych, co jeszcze siedzieli w pomieszczeniach Katedry i opracowując część pisemną egzaminu - wszystko słyszeli. Oto co powiedzieli:

"Bardzo przepraszam panie profesorze, ale nie rozumiem, co oznacza wpis do mego indeksu ..."

Profesor (swym głębokim barytonem z pięknym akcentem lwowskim):

"Proszę pana, ja mam pismo od pana dziekana by wpisywać tylko stopnie całkowite. No więc, dla pana dziekana masz pan całkowity "NIEDOSTATECZNIE", ale DLA MNIE - żeś pan ZDAŁ".

Ogłuszony z lekka tą argumentacją, student schylił się w głębokim ukłonie i bez słowa wyszedł.

Niestety nie sprawdzałem co z tym fantem zrobił Dziekanat Wydziału Budowy Okrętów.

Olgierd Pawłowski



Listy do Redakcji

Charzykowy, 1994.12.18

Szanowna Redakcjo!

W czasie pobytu na Wybrzeżu, w październiku br., otrzymałam w prezencie od Pani Elżbiety Garwackiej dwa kolejne Zeszyty "Z Historii Politechniki Gdańskiej".

Czytałam je ze wzruszeniem, wspominając lata 49-52, kiedy to byłam studentką Wydziału Chemii naszej "Polibudy". Szczególną wymowę ma dla mnie artykuł o profesorze Florjańskim, który uczył nas Maszynoznawstwa i Rysunku Technicznego.

Pamiętam Go bardzo wyraźnie: wysoki, wyprostowany, zawsze elegancki pan ze szpicbródką. Miał ciepły, przyjazny stosunek do studentów, którzy bardzo Go lubili i między sobą nazywali "Dziadziem" (nie Dziadkiem). Cechowało go duże poczucie humoru i zaskakiwał nas nieraz swymi oryginalnymi powiedzonkami. Myślę, że niektóre z nich warto by tu przytoczyć, dopóki tkwią jeszcze w pamięci.

Wspominam Jego pierwszy wykład na naszym roku. Na wstępie wygłosił kilka zdań na temat pracy inżyniera. Brzmiało to mniej więcej tak: "Inżynier musi stale się uczyć, czytać literaturę fachową i być na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami techniki - bo jeżeli inżynier nie będzie się dokształcać, to za pięć lat może powiedzieć "serwus" - tu nastąpiła efektowna przerwa - mamutom!"

A oto inne znane powiedzonko Profesora, wygłaszane spokojnym, monotonnym głosem: "... do kina nie chodzę ... do teatru nie chodzę ... ale na Rady Wydziałowe zawsze chodzę ...", bo na tych posiedzeniach bywały ponoć różne przezabawne incydenty, łącznie z ciskaniem w siebie kałamarzami przez poważnych profesorów, wykłócających się o pomieszczenia dla swoich pracowni i pracowników.

Mimo upływu lat nie przestał być wielbicielem płci nadobnej. Na każdym roku miał wśród studentek swoją "sympatię", do której często zwracał się w trakcie wykładu, nawiązując do jego tematu. Np. "bo jeżeli pani postawi w tym miejscu znak hartowania zamiast szlifowania, to naturalnie nic w świecie z tego nie wyjdzie."

W czasie pisemnego kolokwium Profesor chodził wolniutko między ławkami i nachylając się do ucha tej, czy innej studentki pytał szeptem: "Czy dostała już pani bakcyla?" - bakcylem nazywał tzw. "ściągawki". Gdy któryś ze studentów na ustnym kolokwium czy egzaminie plótł androny Profesor, udając oburzenie wołał głośno do asystenta: "podaj mi pan rewolwer - będę strzelał!"

Kiedyś w czasie przerwy między wykładami Profesor nie wyszedł z sali. Stał otoczony grupką słuchaczy i prowadził z nami swobodną pogawędkę. Było to chyba wkrótce po pogrzebie Jego brata, bo był bardzo smutny. W pewnym momencie powiedział cicho: "ja jestem bardzo zmęczony, nie mam już nikogo, chciałoby się do Bozi ..." Zrobiło nam się bardzo przykro, nie wiedzieliśmy co odpowiedzieć. On zaś widząc nasze smutne miny dodał z uśmiechem: "ale przystojny będzie ze mnie aniołek!" - na co odpowiedziałam Mu, że my jednak wolimy przystojnego pana Profesora tu na ziemi, niż przystojnego aniołka w niebie, czym sprawiłam mu widoczną przyjemość.

Podziwialiśmy Go zawsze, gdyż nie posługując się żadnymi notatkami rysował na tablicy z pamięci części maszyn i urządzenia techniczne, objaśniając jasno i przystępnie ich działanie. Gdyby ktoś z nas robił wówczas zdjęcia tych rysunków i jeszcze nagrywał wykłady na taśmę magnetofonową - byłby to nieoceniony materiał dydaktyczny dla nas i następnych pokoleń studentów, a także droga pamiątka po niezapomnianym "Dziadziu".

Pragnę jeszcze przy okazji dorzucić kilka anegdot o profesorze Polaku. Nie zetknęłam się wprawdzie z Nim osobiście, ale znaliśmy Go z opowiadań naszych kolegów "mecha-ników". Zwłaszcza jednego z nich, który świetnie naśladował lwowski akcent Profesora i lubił o Nim opowiadać kawały. A oto co zapamiętałam:

Profesor mówi studentom o pracy konstruktora: "Przed przystąpieniem do opracowania konstrukcji maszyny czy urządzenia, konstruktor powinien zasięgnąć rady u różnych specjalistów. I tak "wytrzymałościowiec" radzi mu zastosować takie to a takie materiały, "smarownik" te, czy inne smary itd. itp., a konstruktor posłucha, pomyśli i ... robi po swojemu."

Kolega ten opowiadał również, że gdy ktoś zdenerwował Profesora podczas egzaminu - otwierały się gwałtownie drzwi gabinetu i na korytarz wylatywała najpierw czapka, potem

indeks, a na końcu niefortunny student.

Znana też była inna anegdotka, którą z powodzeniem prezentowano na scenie kabareciku studenckiego. A brzmiała następująco:

Pechowy student zdaje u prof. Polaka komisyjny egzamin ze smarowań. Z ust Profesora pada pytanie: "Niech mi student powie jakie smarowanie należy zastosować do starego amerykańskiego gramofonu?" Student przygotowany do pytań "cięższego kalibru" kompletnie "zbaraniał" i mówi "... nie wiem, panie profesorze". Na to Profesor zwracając się w stronę komisji pyta: "A komisja wie?". Cisza. "Jak komisja nie wie - student ma u mnie dostateczny!"

To byłoby wszystko, co mogę Wam dziś przekazać, a jeśli te moje okruchy wspomnień przydadzą się Wam przy opracowaniu następnych publikacji o mojej Uczelni - będzie mi bardzo przyjemnie.

Przy okazji zasyłam całemu Zespołowi Redakcyjnemu serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne, życząc owocnej pracy nad następnymi zeszytami w 1995 r.

Z Poważaniem **Danuta Augustyńska** (z d. Dworak)

Ze wspomnień
o prof. Władysławie Florjańskim

W pierwszych latach po wojnie mój mąż Bogusław Pastwa (b. żołnierz AK) studiował w Politechnice Gdańskiej na Wydziale Budowy Okrętów. Było to w 1947/48 r., mąż był na drugim roku. Zdawał po raz drugi egzamin u prof. Polaka, u którego niełatwo było zdać, więc denerwował się bardzo. Więc denerwował się bardzo. Ja pracowałam wówczas jako nauczycielka. Zaraz po lekcjach poszłam na Politechnikę zobaczyć, czy mąż mój zdał ten egzamin czy jeszcze nie.

Korytarz był pusty, dwóch studentów powtarzało sobie coś ze skryptów, czekając na swoją kolej. Pełna niepokoju podeszłam pod drzwi sali, gdzie odbywał się egzamin i próbowałam coś wyłowić uchem, oczywiście zaglądając przez dziurkę. Na tym zastał mnie profesor Florjański, nie znałam Go wówczas. Zapytał z dobrotliwym uśmiechem "co tu robią dzieci" - to dotyczyło mojej osoby. No cóż, w tym czasie, zaraz po wojnie, nie bardzo miałam się w co ubrać. Nosiłam bluzkę harcerską do granatowej spódniczki. Odpowiedziałam również z uśmiechem, że czekam na męża. "A więc dzieci mają męża studenta" ciągnął dalej Profesor. A ja na to, nie tylko męża, ale jeszcze mają dziecko. Wtedy popatrzył na mnie, pogładził po policzku i zapytał o nazwisko męża. Po mojej odpowiedzi wszedł do sali. Wyszedł po dłuższej chwili i kazał mi prędko biec po kwiaty dla męża.

Nie muszę dodawać jak to podziałało na mnie. Pobiegłam jak na skrzydłach po dwa kwiatki i wróciłam na Politechnikę. Mąż był na korytarzu uśmiechnięty i tłumaczył coś czekającym studentom.

Później stykając się z innymi studentami w naszym domu, bo mieliśmy już mieszkanie jako nieliczni w tym czasie, wspominaliśmy czasy i profesorów. I wtedy ja opowiedziałam im jak mnie i chyba mężowi pomógł prof. Florjański, na co odezwał się inż. Jerzy K. mówiąc, że jemu z kolei dał pieniądze na buty i na sweter, bo nie miał, a była zima i chodził w białych tenisówkach. I nie tylko jemu jednemu, bo jak tylko brał profesor Florjański pensję, to rozdawał innym studentom też, na ubranie, czy na inne potrzebne rzeczy. Tak, że nieraz połowę pensji rozdawał.

Był człowiekiem szlachetnym i miał bardzo dobre serce. Powtarzam słowa inż. J. K. i innych.

W sierpniu roku 1987 poznałam mgr inż. Florjańskiego, bratanka profesora Florjańskiego. Przypomniałam sobie to moje spotkanie z Jego nieżyjącym stryjem i teraz napisałam tych parę słów. Bo okruchy dobrego serca prof. Florjańskiego są jak perły rozsypane po Politechnice Gdańskiej, które warto pozbierać, by nie uległy zapomnieniu.

Maria Pastwa

Kraków, 1994.10.12

SPRAWA FOTELA REKTORA POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

Mamy następujące pewniki:

1. Monogram wyrzeźbiony na wezgłowiu na tarczy fotela jest bez wątpienia znakiem szczególnym organizacji młodzieży studiującej, w konkretnym przypadku jest to tzw. "cyrkiel" (Zirkel) Towarzystwa Gimnastycznego Hanse, które zostało założone przez studentów "Technische Hochschule" Danzig, dnia 12 VIII 1904 r. z barwami: czerwono-biało-złota; było to stowarzyszenie mające trójstopniową hierarchię członków (Fuchs, Bursch, Alter Herr), barwy, czapki, wstęgi, hasło: "Ani zuchwale, ani tchórzliwie" (Nec temera, nec timide!), obyczaje

i formy jak w korporacjach lecz bez obowiązku "menzury", dające "ograniczoną satysfakcję". W roku 1930/31 miało 19 członków aktywnych, 20 urlopowanych, 30 zamiejscowych oraz 68 Starych Panów (filistrów). Miało własny dom, przy "Parkweg 1", gdzie była stała kwatera; położenie dość blisko Politechniki.

Fotel ten niewątpliwie stanowił wyposażenie tej kwatery i był używany w czasie konwentów przez prezesa (Seniora). W jaki sposób fotel ten odnalazł się w głównym budynku Politechniki - należy zbadać dokumenty: a) w archiwach PG, jak wiadomo zachowanych, na pewno znajdują się spisy inwentarza i wyposażenia poszczególnych sal; wtedy można uzyskać przesłanki tak lub nie; jeżeli nie, to znaczy, że fotel znalazł się w budynku Politechniki dopiero po II wojnie; b) w archiwach PG może się też odnaleźć notatka o podarowaniu fotela przez T. Hansea na rzecz TH; moim zdaniem małe szanse na taki wariant; c) w archiwach może być notatka Rektoratu o podarowaniu fotela; d) w archiwach może być notatka (w aktach sprawozdań corocznych Hansei do Senatu o podarowaniu fotela; moim zdaniem słaba szansa) - ale należy sprawdzić wszystkie warianty.

My się tutaj głowimy, a tymczasem sprawa może być nader prosta; miasto i port Gdańsk było oblegane; we Wrzeszczu usadowiły się kwatery dowództw Armii Czerwonej; to byli mistrzowie od przemieszczania, przenoszenia, sprzedawania, grabienia i niszczenia wszelkiego dobra; fotel tą drogą przypadkowo mógł się znaleźć na terenie Politechniki.

Fotel mógł być przyjęty w nieznanych okolicznościach przez pierwszego rektora-organizatora, prof. Stanisława Łukasiewicza; gdyby profesor żył sprawa znalazłaby autorytatywne wyjaśnienie; profesor znał obyczaje niemieckich studentów, gdyż kończył studia na Politechnice drezdeńskiej (zmarł 9 XI 1960 r. w Gdańsku). Może żyje jeszcze ktoś z byłych asystentów profesora Łukasiewicza?

Na zakończenie pragnę dodać, że inicjały T.H.:

Turnerschaft Hansea T.H.
Technische Hochschule T.H.

zupełnie przypadkowo są zgodne lecz to nie daje podstawy do błędnego interpretowania i wnioskowania; "cyrkiel" Hansea jest zupełnie jednoznaczną wskazówką.

Cum ave Fraterno!

Zbysław Popławski

Pan doc. dr hab. Zbysław Popławski w okresie studiów na Politechnice Lwowskiej należał do Korporacji K! SLAVIA. Na Zjeździe Związku Polskich Korporacji Akademickich we Lwowie (1935 r.) został wybrany do Prezydium ZPKA. W listopadzie 1935 jako Sekretarz Generalny ZPKA wizytował korporacje polskie na Politechnice Gdańskiej. Jest uznanym autorytetem w zakresie spraw związanych z działalnością polskich organizacji akademickich działających w latach 1828-1939. Wieloletni pracownik naukowy Politechniki Lwowskiej i AGH w Krakowie. Wiele publikował. Jest autorem monografii o Politechnice Lwowskiej z której wywodzi się wielu pracowników Politechniki Gdańskiej.

Powyższy list i notkę o jego autorze nadesłał nam Pan W. Heppner. Dziękujemy. (Red.)

Warszawa, 7 lutego 1995 r.

Drogi Wacku, list Twój, dotyczący obchodów rocznicowych Politechniki Gdańskiej, mimo niedokładnego adresu dotarł do mnie.

Myślę, że Twoje uściślenia, zawarte w piśmie do prof. Wittbrodta, dotyczące historii Politechniki Gdańskiej, są słuszne. Zamazywanie historii przynosi szkody.

Pytasz o nasz Bratniak i rok 1948. Wspomnienia moje są już bardzo zubożone czasem. Wspomógł mnie swą pamięcią, a i dokumentami, Marian Dubik, w 1948 r. prezes Koła Mechaników i, jako prezes Koła, późniejszy członek Rady Seniorów Bratniaka.

Prezesem zarządu Bratniaka w 1948 r. był Sadowski (Zdzisław - ?), sekretarzem Jerzy Galla, bardzo kompetentną pracownicą sekretariatu była Basia Witkowska z Wydz. Chemii, v-prezesami byli: Tadeusz Musiał (a może skarbnikiem ?) i Zbigniew Stomma, tzn. ja. Chyba też v-prezesem był Jan Chojnacki, działacz czy też członek PPR a potem ZAMP.

Bratniak w czasach tego zarządu, w 1948 roku, był rzeczywistym samorządem. Podlegały mu domy akademickie (chyba cztery), stołówka (na Sobieskiego), drukarnia (głównie druk skryptów zastępujących książki, których brakowało). Bratniak organizował, często we współpracy z kołami naukowymi, doraźne działania dotyczące życia kulturalnego, sportowego, samopomocowego (np. rozdział darów UNRRA) i społecznego studentów (np. parokrotnie wielkie akcje odgruzowywania Wrzeszcza i Starego Miasta w Gdańsku).

Dochody Bratniaka ze stołówki, akademików

i drukarni były bardzo skromne i sądzę, że na potrzeby Bratniaka łożyła także, poprzez kwesturę, sama Politechnika, jak i inne instytucje ze swoich budżetów.

Wiosną 1948 roku otrzymaliśmy pismo (zarządzenie ?), chyba z Rektoratu PG (rektorem był wtedy prof. Stanisław Turski), stanowiące, że całość działalności gospodarczej Bratniaka, a więc domy akademickie, stołówkę i drukarnię przejmuje administaracja Politechniki. Bratniak miał się zająć tylko działaniami doraźnymi dotyczącymi kultury, samopomocy i życia społecznego studentów oraz, wydaje mi się, miał podporządkować sobie koła naukowe.

Pamiętam, że chcieliśmy protestować przeciwko takim decyzjom. Protest ten wyraziliśmy chyba w formie pisma i delegacji zarządu do władz Politechniki.

Pamiętam dobrze postawę Jana Chojnackiego (z ZAMP) wyrażającą niewiarę w skuteczność jakiegokolwiek protestu. Boleśnie pamiętam drwinę - ale miał rację, niczego nie uzyskaliśmy, a postępowanie sądowe wydawało się niemożliwe.

Sprawa naszego Bratniaka była tylko fragmentem reorganizacyjnej akcji ogólnokrajowej, prowadzonej już przez komunistyczne władze państwowe, zmierzającej do utworzenia posłusznej im Federacji Polskich Organizacji Studenckich i, w następnym kroku, do powstania, równie posłusznego, Zrzeszenia Studentów Polskich.

Z dotychczasowego zarządu Bratniaka ustąpił prezes Sadowski, ustąpiłem i ja. Nie pamiętam formy naszej dymisji.

Nowym prezesem zarządu został Jan Chojnacki z PPR i ZAMP.

Po zawieszeniu działalności gospodarczej Bratniaka i po umocnieniu w jego zarządzie ludzi politycznie uzależnionych, nasza Bratnia Pomoc szybko utraciła cechy rzeczywistego samorządu studenckiego.

Tło tych wszystkich wydarzeń, procedurę ubezwłasnowolnienia Bratniaków, doskonale ilustruje dokument z września 1949 roku, noszący tytuł: Biuletyn Informacyjny Federacji Polskich Organizacji Studenckich, Komitet Środowiskowy Gdańsk-Wrzeszcz, Al. Rokossowskiego 25, Wydział Kulturalno Propagandowy. Biuletyn ten ma Marian Dubik tu w Warszawie. Marian obiecał, że prześle Ci kopię tego dokumentu. Obiecał także, że dołączy swe wspomnienia dotyczące Bratniaka w tamtych latach.

Starałem się odszukać Basię Witkowską, by prosić ją także o relację z wydarzeń w Bratniaku w 1948 r. Mieszka gdzieś tu w Warszawie, ale adresu nie udało mi się ustalić.

No, a teraz już tak luźno, ale też jeszcze o Bratniaku.

Zimą z 47 na 48 rok wybuchła awantura. Zabrakło w kasie pieniędzy na węgiel, na przyzwoite ogrzanie akademików. Chłopcy zaczęli dogrzewać się elektrycznością. A że nie było także i piecyków elektrycznych, konstruowali je sami w najprzedziwniejszy sposób. Popularnym było przerabianie żelaznych łóżek sprężynowych na grzejniki elektryczne. Za węgiel nie było czym płacić, a rachunki za elektryczność rosły i też nie było czym płacić. Na domiar złego grzejniki łóżkowe często powodowały awarie całych sieci zasilających domy. W końcu, zrozpaczone Pogotowie Energetyczne odcięło zasilanie paru domów. Podniósł się krzyk okropny. Strapieni udaliśmy się do Elektrowni. Przyjęto nas w pokoju zawalonym niepoczciwymi grzejnikami, zabranymi z akademików. Rozmowy wiały grozą. Musieliśmy przyrzec, że łóżka będą używane tylko do spania, potem było dużo dalszego gadania ... i ostatecznie wyszliśmy z obietnicą Elektrowni, że anuluje nam wszystkie dotychczasowe zaległości płatnicze. Trochę potem, też na zasadzie amnestii, udało nam się załatwić sprawę węgla.

Jesień 1947 roku. Bratniak zorganizował odgruzowywanie miasta, wszak wokół były ruiny. Wypożyczyliśmy od służb miejskich łopaty, kilofy, ciężarówki. Także niektóre prywatne firmy podjechały swymi wozami. Najpierw pracowaliśmy we Wrzeszczu, między Dworcową i Morską. W kilka dni później wyprowadziliśmy kolumnę chłopaków, cały batalion - chyba z 800 łopat i kilofów, na ówczesną ulicę Rokossowskiego (dziś Al. Zwycięstwa), piechotą aż nad Motławę, pod Żuraw. Rozwinęliśmy się szerokim frontem, zabraliśmy się i za sam Żuraw. Pod gruzem odkryliśmy stary mechanizm dźwigowy Żurawia, m. in. wielkie, starej roboty, lane koło żeliwne. Odwaliliśmy gruz, ale mechanizmy, gdzieś zakleszczone, nie dawały się w pełni oswobodzić. Mieliśmy pod ręką wielki ciągnik samobieżny z wyciągarką, wypożyczony od ojca jednego z kolegów. Zakotwiczyliśmy ciągnik mocno - za szyny tramwajowe. Pociągnęliśmy stalową liną uparty mechanizm. Za pierwszym razem pękła lina, za drugim - ścięły się zęby przekładni wyciągarki. Martwiąc się losem kolegi od uszkodzonego ciągnika, musieliśmy kończyć robotę łopatami i kilofami. W końcu oswobodziliśmy mechanizm i koła. Byliśmy bardzo zadowoleni z siebie, nie było tylko wiadomo dokąd to wszystko zabrać z tego

pustkowia. Ustaliliśmy, że wszystko załatwi się jutro, bo robiło się już ciemno. Wróciliśmy rankiem następnego dnia. Kół nie było. Wnioskowaliśmy ze śladów, że zostały potłuczone na kawałki i pewnie sprzedane na złom. Było nam bardzo przykro.

Koniec 1947 roku, Sylwester. W Bratniaku, na Sobieskiego wielki bal. Sala stołówki zastawiona stolikami, w środku miejsce do tańczenia, błyszcząca klepka posadzki, dekoracje, w głębi orkiestra. Bawimy się, a jest z kim tańczyć: dziewczyny z Politechniki, z pobliskiej Akademii Medycznej ...

A każdy był tak ciekaw czekającego go życia.

Kończę już. Pamiętam Cię Wacku tak dobrze z czasu wojny, z Bobrusza, z nad Jeziora Dryświackiego gdy, zastępując szkołę, uczyła nas Twoja siostra - panna Nella. Tam już tylko nasze drzewa żyją. Kilometr na wschód od Bobrusza stoją teraz bloki Ignalińskiej Elektrowni Atomowej - tej co zasila energią pół Litwy, a przestrasza nas wszystkich.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia od nas obojga. Do widzenia Wacku.

Zbigniew Stomma

List ten otrzymaliśmy dzięki uprzejmości Pana Wacława Dziewulskiego. Dziękujemy. (Red.)

Dawne meble Uczelni - cd.

Podstawowym zadaniem uczelni była i jest dydaktyka. W uczelni technicznej podzielono zadania na teoretyczne i praktyczne. Do wykonywania tych pierwszych, niezbędne były sale wykładowe, z których największe, tzw. audytoria mieściły się w zasadzie w narożach budynku Głównego. Na każdej z jego czterech kondygnacji ilość sal wykładowych była zmienna, co wiązało się ze specyfiką dydaktyczną poszczególnych wydziałów czy instytutów, a więc ich charakterystycznymi potrzebami na te sale.

I tak w kondygnacji parterowej przyziemia umieszczono tylko jedną małą salę wykładową na 50 miejsc. W kondygnacji parterowej tych sal było już cztery na 170, 99, 96 i 60 miejsc.Na pierwszym piętrze umieszczono aż dziewięć sal: dwa duże audytoria na 168 i 156 miejsc, jedno średnie na 120 miejsc, pozostałe sale miały kolejno - 72, 64, 36, 36, 32 i 27 miejsc. Na drugim piętrze, na osi głównego budynku umieszczono aulę. W jej części prezydialnej przewidziano 13 miejsc uprzywilejowanych oraz 30 miejsc po bokach stołu prezydialnego - wszystkie umieszczone na wyodrębnionym podium. Na sali przewidziano 374 miejsca oraz 88 miejsc na balkonie. Na tej kondygnacji umieszczono jeszcze trzy sale wykładowe: na 122 miejsca, 56 i 36 miejsc.

Każda z tych sal na jednostopniowym podium została zaopatrzona w tzw. stół katedralny z szafkami dla wykładowcy. Dla tego mebla opracowano powielaną formę w co najmniej dwóch wielkościach (fot. 4 na tylnej stronie okładki) z powtarzalnym ornamentem (fot. 2). Głównym elementem klasyfikującym ten mebel do wspólnej rodziny drzwi i mebli Gmachu Głównego Uczelni, jest płycina o charakterystycznym wykroju w kształcie litery U.

Drugim podstawowym elementem wyposażenia sali była przyparta do ściany dwudzielna podnoszona tablica (fot. 3). Boki konstrukcji zwieńczono charakterystyczną formą ślimacznicy, w środku belki górnej umieszczono symbol gdańskiej uczelni - cyrkiel na tle trójkąta (fot. 1)

Janusz Ciemnołoński

Zdjęcie na okładce tytułowej:

W budynku Laboratorium Mechaniczno -Technicznego umieszczono kotłownię. Dla jej obsługi na froncie budynku został wzniesiony 45 m wysokości komin, który przy swym wylocie miał otwór o średnicy 1,7 m. Na wysokości 32 m nad poziomem terenu przyparto do komina wieżę ciśnień, umożliwiającą dopływ wody do wszystkich wysoko usytuowanych pomieszczeń w budynakch Uczelni. Komin ten, wraz z wieżą, wznosząc się ponad sąsiednie budynki, przez swoją **osobliwość stał się symbolem Politechniki Gdańskiej.**

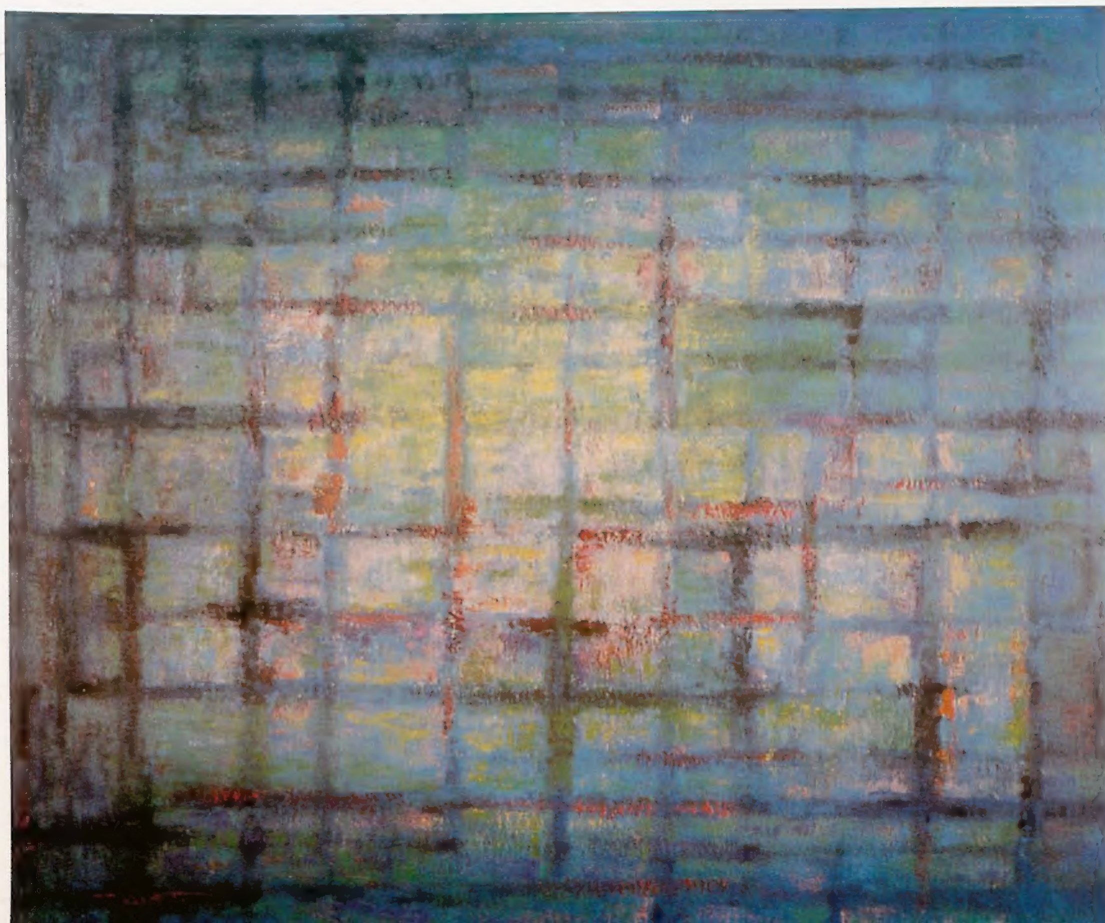
Zespół - wieża ciśnień i komin - jako spójna grupa budowlana, poza spełnianiem czysto technicznej roli, dzięki uzupełnieniu go w wybudówkę w kształcie balkonu i umieszczeniu na kominie pionowych schodów zabezpieczonych prętową obudową, służył dawniej studentom jako pole ćwiczeń w badaniu gazów dymnych.

Ten osobliwy zespół zachował się szczęśliwie do dziś. Potężną dziurę po pocisku artyleryjskim zamurowano dopiero w latach pięćdziesiątych.



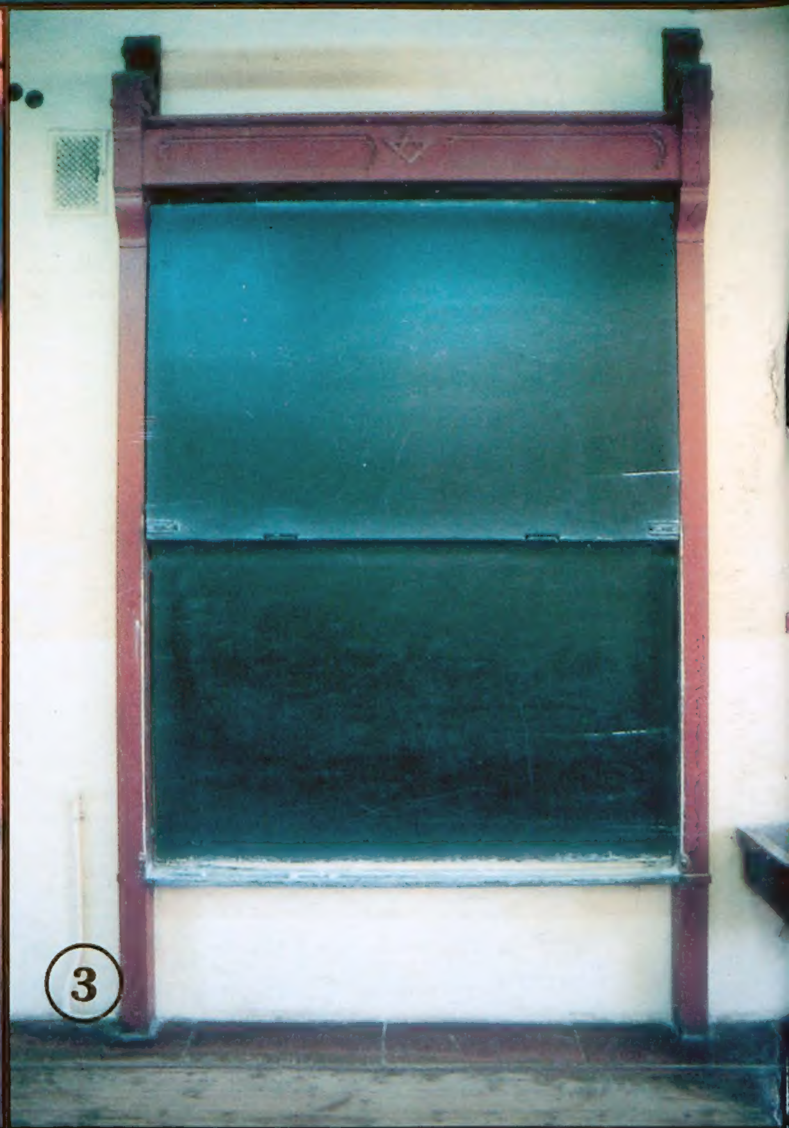
ZAMGLONE SŁOŃCE, olej OK, 1971r. Władysław Lam

GRA FORM I BARW, olej OK, 1960r. Władysław Lam




1


2


3


4